WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" 6 września 1969 r. Nr 36 (414)

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

25 LECIE WOJEWÓDZTWA RZESZOWSKIEGO

Z dziejów rzeszowskiej Melpomeny

WSZYSTKO ZACZĘŁO się od jednego ogłoszenia: „Artystów zawodowych i amatorów — aktorów, muzyków i śpiewaków prosi o zgłoszenie się Wojewódzki Wydział Informacji i Propagandy". Ogłoszenie ukazało się w „Biuletynie Informacyjnym" pełniącym wtedy rolę gazety codziennej w Rzeszowie w 2 miesiące po wyzwoleniu miasta. I wkrótce w tymże Biuletynie pojawiła się informacja: „Resort Kultury i Sztuki kompletuje obecnie zespół aktorski do objazdowego teatru z siedzibą w Rzeszowie". I wreszcie oficjalny komunikat: „Resort Kultury i Sztuki PKWN postanowieniem z dnia 7. X. 1944 r. zarządził utworzenie Teatru Narodowego w Rzeszowie".

Nie znaczy to jednak, by przed powołaniem do życia teatru nie było w Rzeszowie imprez artystycznych. Głód wrażeń teatralnych, tęsknota za słowem poetyckim, muzy-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Fot. M. KOPEC

Jeńcy radzieccy w Pełkiniach

XXX rocznica Września

Obozy jeńców wojennych na Rzeszowszczyźnie (1939 — 1944)

Druga wojna światowa pozostawiła na Rzeszowszczyźnie — tak jak zresztą w całej Polsce — ogromne zniszczenia biologiczne, materialne i kulturalne. Na osobne omówienie zasługuje zagadnienie eksterminacji jeńców wojennych. Wyniki badań Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie wskazują, że liczba zmarłych tu jeńców sięga blisko 100 tysięcy. Po przegranych bitwach pod Kolbuszową, Jarosławiem, Przemyślem i Oleszycami — Niemcy zabrali do niewoli kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego. Nie wszystkich zatrzymali w miejscach odosobnienia. Już wtedy koło Drohobycza we wsi Urycze, około 100 żołnierzy polskich zamknięto w jednej ze stodół wiejskich, oblano benzyną i podpalono granatami. Na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności uratowało się tylko trzech, reszta została spalona żywcem. Praktykę palenia jeńców hitlerowcy stosowali bardzo często nawet wtedy, gdy już ponosili klęskę i wycofywali się w 1944/45 roku przez nasze ziemie.

Obozy przejściowe dla żołnierzy Wojska Polskiego jesienią 1939 r. zarganizowano w Łańcucie i Przeworsku. Na terenie ogrodu ordynata Potockiego ludzie koczowali pod gołym niebem. Nie było żadnej kuchni ani nie wydawano żadnego pożywienia. Organizowaniem żywności i ucieczki jeńców zajęła się miejscowa ludność, która utworzyła spośród mieszkańców specjalny komitet obywatelski. Część jeńców z Łańcuta zdołała zbiec, pozostałych wywieźli Niemcy do obozów na terenie Niemiec, innych zwolniono do domu.

Zupełnie podobna sytuacja zaistniała w Przeworsku. Na terenach zbombardowanej cukrowni Niemcy gromadzili coraz to nowe kolumny jeńców polskich. Tu również ludzie koczowali pod gołym niebem, a tylko nieliczni znaleźli schronienia w obiektach cukrowni. Jeńcom rozdawano wprawdzie wyżywienie, ale nie było ono wystarczające. Oficerów oddzielano i wywożono do Rzeszy. Wysyłano do Niemiec również szeregowych. Spora jednak liczba jeńców zbiegła. W ten sposób przez obóz przeszło ponad 70 tysięcy ludzi. Obóz zlikwidowano 15 listopada 1939 r.

Jeńcy polscy w 1939 r., którzy uciekli z obozów po otrzymaniu cywilnych ubrań i często podrobionych dowodów udawali się dwoma kanałami w kierunku Słowacji. Jeden przechodził na Duklę i Barwinek, a drugi przez Żmigród i Krempną. Żyją jeszcze dziś ludzie, którzy byli przewodnikami uciekinierów na granicy. Warto wymienić mieszkańca Krempnej, Tadeusza Sochę, natomiast w akcji podrabiania dowodów wsławił się mieszkaniec Tyczyna — Mieczysław Domino.

Jeszcze gorsza była sytuacja w obozach jeńców radzieckich. Hitlerowcy żołnierzy Armii Radzieckiej skazali na zagładę fizyczną, co konsekwentnie z niemiecką dokładnością realizowali. W ciągu zimy z roku 1941/42 zamordowano kilkanaście tysięcy żołnierzy radzieckich, w 13 obozach jenieckich, jakie znajdowały się na Rzeszowszczyźnie.

Najbardziej chyba tragicznie przedstawiała się sytuacja jeńców radzieckich w Pustkowie k/Dębicy. Pierwszy ich transport przybył na stację kolejową w Kochanówce 8 października 1941 r. Większość z nich była do ostateczności fizycznie wyczerpana. Już z wagonów wyniesiono kilkanaście trupów, tych co nie znieśli podróży w nieludzkich wprost warunkach. Od stacji do miejsca przeznaczenia już w pierwszym transporcie zmarło około 70 jeńców.

Jeńców wpędzono za druty, wokół których ustawiono SS-manów. Pobudowano wieże wartownicze. W obozie nie było baraków, a ludzi rozlokowano na polu, pod gołym niebem. Nocą kładli się pokotem na gołej ziemi lub w wygrzebanych własnymi rękami dołkach. Jesień 1941 r. była bar-

Ciąg dalszy na str. 2

Z dziejów rzeszowskiej Melpomeny

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ką była tak wielka po pięcioletniej okupacji, że już w parę dni po wyzwoleniu zaczęły się samorzutnie organizować amatorskie zespoły artystyczne i dawać publiczne występy. Wspomniany Biuletyn Informacyjny pisał np. o wieczorze artystycznym, który odbył się we wrześniu 1944 r., staraniem II pułku zapasowego Wojsk Polskich. Był to wieczór humoru, muzyki i śpiewu. Notatka kończy się pochwałą organizatorów tej imprezy plutonowego Sytka, poborowego Troję i Wiszniewskiego i zachętą do prowadzenia dalszej działalności w tym kierunku.

W kilka dni później w Domu Ludowym (dzisiejszy WDK) odbył się „Wieczór poezji polskiej". Wiersze poetów napisane w czasie wojny recytował między innymi Kazimierz Dejmek (młody, rokujący najlepsze nadzieje na scenę dramatyczną — pisał o nim autor informacji o „Wieczorze" w Biuletynie) i Ignacy Machowski. Imprezę organizował Franciszek Lipiński — dzisiejszy sekretarz Zarządu Oddziału ZLP w Rzeszowie.

Ale dopiero zorganizowanie teatru pozwoliło na systematyczną działalność artystyczną w Rzeszowie i na terenach już wyzwolonych — działalność, która spotkała się we wszystkich środowiskach z wielkim entuzjazmem. Wkrótce młody teatr dysponował już zespołem dramatycznym, zespołem szkoły dramatycznej „Miniatura" i orkiestrą symfoniczną. Pierwszym dyrektorem nowej placówki artystycznej był Bogdan Proskurnicki, a kierownikiem artystycznym Stefania Gintel-Domańska. Już 25 listopada 1944 r. odbyła się pierwsza uroczysta premiera Teatru Narodowego w Rzeszowie. Wystawiono fragmenty aktu drugiego „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Władysława Konarskiego. Oto jak wspomina to teatralne święto Rzeszowa Bogdan Proskurnicki: „Sala rozszlochała się po pierwszych taktach poloneza Chopina. A gdy zabrzmiały ostatnie akordy, wybuchła burza oklasków. Poloneza bisowano czterokrotnie"... A Kazimierz Dejmek wykonawca roli Jaśka pisał o tym jak „łzy dławiły gardło, ludzie płakali i łapczywie, radośnie, gorączkowo zachłystywali się słowem polskim, które w ten wieczór w teatrze złożone w strofy „Wesela", przemawiało szczególnie i szczególnie dawało odczuć smak wolności". („Wesele — program Państw. Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie — 1964 rok). W tym pierwszym „Weselu" na scenie rzeszowskiej — jak wspomniałem, Kazimierz Dejmek grał rolę Jaśka, Władysław Konarski — gospodarza, Danuta Cwynarówna — gospodyni, Jerzy Szpunar — Kuby i Władysław Kowalski — Wernyhory. Później na scenie w Rzeszowie pojawiło się wielu znakomitych artystów, którzy albo tu zaczynali swą sceniczną karierę jak, oprócz już wspomnianego Dejmka i Machowskiego, Adam Hanuszkiewicz, Zbigniew Wójcik, lub też przybywali tu już w blasku sławy na gościnne występy (Mieczysława Ćwiklińska, Tadeusz Białoszczyński, Lech Madaliński, Aleksander Zelwerowicz, Czesław Wołłejko).

W tym samym sezonie artystycznym wystawiono jeszcze melodramat Dymitra Szczegłowa „Jego wielka miłość", „Lekkomyślną siostrę" Perzyńskiego i operetkę Waltera Kollo: „Tylko ty". Oprócz tego teatr rzeszowski prowadził w tych pierwszych miesiącach ożywioną działalność muzyczną — występując często z koncertami symfonicznymi. Oto co pisał recenzent w „Dzienniku Rzeszowskim" o jednym z takich koncertów: „... W koncercie wzięła udział orkiestra symfoniczna Teatru pod batutą mgr Głodzińskiego oraz solistki ob. Graziadowa, Dziurzyńska i Szatkowska... orkiestra symfoniczna pod wytrawnym kierownictwem wykonała szereg utworów. A więc Flotowa uwerturę do opery „Alessandro Stradello po czym ob. Graziadowa odśpiewała arię Traviaty Verdiego, arię z opery Straussa „Zemsta nietoperza" oraz Walca Wiedeńskiego bardzo oryginalną kompozycję dyr. Graziadio"... Recenzent bardzo wysoko ocenił solistki, zwłaszcza Dziurzyńską, byłą gwiazdę opery lwowskiej. Występowała wtedy również na scenie rzeszowskiej znakomita śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska.

Wkrótce placówka zmieniła nazwę Teatr Ziemi Rzeszowskiej, później na Teatr Miejski w Rzeszowie, w roku 1949 upaństwowiono go i nazwano Państwowym Teatrem Ziemi Rzeszowskiej a od roku 1957 nosi dzisiejszą nazwę Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Po Bogdanie Proskurnickim bowiem kierownictwo teatru objęła znakomita aktorka Wanda Siemaszkowa, która związała z Rzeszowem ostatnie lata swego aktywnego, pięknego życia. Wielu później dyrektorów, reżyserów i aktorów związało swoje losy z 25-letnimi dziejami rzeszowskiej sceny. Brak miejsca w tym szkicu, by ich wszystkich wymienić.

Wiele wzlotów i chwil słabości przeżyła ta scena, jak każda placówka artystyczna. Ale ponieważ towarzyszyła mieszkańcom Rzeszowa od pierwszych dni wolności, zaspokajała ich głód polskiego słowa prawie przy wtórze pomruku dział niedalekiego jeszcze frontu, przywiązała do siebie wszystkie serca. Ma chlubną kartę w 25-letniej historii województwa rzeszowskiego.

JAN GRYGIEL

Obozy jeńców wojennych na Rzeszowszczyźnie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dzo zimna, w nocy występowały silne przymrozki — padały deszcze, a często i śnieg. Rano jeńcy stawali pokryci białym szronem skostniali z zimna, trawieni gorączką. Głód dokuczał im okropnie. Już po kilku dniach jeńcy zjedli wszystką trawę na terenie obozu i resztę ścierniówki. Po kilku dniach kilkaset osób zmarło z głodu, wycieńczenia i zimna. Ciała ofiar grzebano w specjalnie wykopanych rowach, u podnóża Królowej Góry.

Wkrótce hitlerowcy wybudowali na sąsiednim wzgórzu specjalny, aczkolwiek prymitywny jeszcze, piec krematoryjny, w którym palono zwłoki. Przebudowany przetrwał do wyzwolenia. Zimą 1941/42 rok, tj. w okresie masowej likwidacji jeńców, krematorium czynne było całą dobę. Zwłoki palono ciągle, a nawet wykopywano ciała jeńców wcześniej pochowanych i wrzucano do pieca. Zagładzie uległo około 7 tysięcy ludzi.

Podobne warunki panowały także w obozie jeńców radzieckich w Rymanowie. Również jesienią 1941 r. przybył tu pierwszy transport w liczbie około 3 000 osób. Ranni, wygłodniali, obdarci padali w drodze. Niektórzy próbowali zerwać rosnącą jeszcze tu i ówdzie na polach kapustę czy buraki, tych konwojujący żołnierze hitlerowscy na miejscu rozstrzeliwali. Grozili użyciem broni miejscowej ludności polskiej, która próbowała podać jeńcom kawałek chleba lub papierosy. Jedna grupa jeńców radzieckich przybyła do Rymanowa w lutym 1942 roku. Był ogromny mróz i wiał silny wiatr. Niemcy ściągnęli od okolicznych chłopów ponad 100 podwodów konnych z drabiniastymi wozami. Przybyły transport jeńców wyglądał rozpaczliwie. Przemarznięci, głodni, źle odziani, zasłaniali twarze przed wichurą i śniegiem, brnąc w nim po pas. Za tą powoli posuwającą się kolumną jeniecką jechali chłopi i wieźli na wozach zmarłych w czasie transportu oraz „żywych trupów" z odmrożonymi kończynami lub częściami twarzy.

O warunkach panujących w obozie rymanowskim — opowiada jeden z naocznych świadków.

— „W jesieni 1941 r. z powodu wielkiej słoty, głodu i niehigienicznych warunków tu panujących, wybuchła epidemia tyfusu. Śmiertelność wówczas była duża i wynosiła przeciętnie 80 osób dziennie. Epidemia w najwyższym nasileniu trwała około 2 miesięcy. Zmarło przez ten czas około 10 000 ludzi. Zmarli grzebani byli na specjalnym cmentarzu dla jeńców, położonym na obszarze dworskim, odległym o około 0,5 km od obozu. W czasie epidemii grzebano ciała w grobach zbiorowych.

Największym skupiskiem obozów jenieckich legitymują się dziś dwa powiaty, tj. Przemyśl i Jarosław. W przemyskim istniały one w Pikulicach, Przekopanej i Nehrybce. Ta ostatnia miejscowość przeznaczona była dla jeńców włoskich, którzy po przewrocie politycznym we Włoszech gen. Badoglio w 1943 r. odmówili dalszego udziału po stronie Niemców w wojnie na wschodzie.

We wszystkich wspomnianych miejscowościach, jeńców traktowano nieludzko. Obóz w Pikulicach założony w lipcu 1941 r. i już w krótkim czasie po agresji Niemców na Związek Radziecki, przetrwał do lipca 1944 r., a zlikwidowany został na krótki czas przed ucieczką Niemców z terenu przemyskiego. Jeńcy otrzymywali rano i wieczorem czarną, nie słodzoną kawę z minimalnym, kilkudekowym dodatkiem chleba. Na południe wodnistą zupę gotowaną z nieoczyszczonych i nie obranych ziemniaków lub zgniłych liści kapuścianych. Chleb był wypiekany z przeważającym dodatkiem trocin i praktycznie nie nadawał się do spożycia. Zdarzały się zresztą okresy, w których jeńcy otrzymywali posiłek tylko jednorazowo. W tych też warunkach wielu jeńców chorowało i umierało na puchlinę wodną. Jeden ze świadków stwierdza, że „jeńcy mieli wygląd „kościotrupów", a ci zatrudnieni poza obozem nie mieli sił do pracy".

Z powodu głodu i okropnych warunków higienicznych panujących w obozie, poniosło śmierć około 8 000 ludzi.

Nieco znośniej traktowano jeńców włoskich, dla których przeznaczono obóz w Nehrybce i częściowo w Pikulicach. W Nehrybce osadzeni byli początkowo jeńcy radzieccy, później holenderscy i włoscy i ponownie radzieccy. Obóz ten także przeszedł epidemię tyfusu plamistego, a zwłoki grzebano na terenie obiektów fortecznych w Nehrybce i na cmentarzu w Pikulicach.

Osobnego omówienia wymagają obozy jenieckie w Jarosławskiem. Jeńcy w Pełkiniach i Wólce Pełkińskiej nie mieli lepszych warunków niż w pozostałych obozach i śmiertelność w nich osiągnęła te same rozmiary. Swoim charakterem jednak odróżniał się obóz — krematorium w Koniaczowie.

Po napaści na Związek Radziecki, jesienią 1941 r., Niemcy przywozili samochodami jeńców radzieckich i masowo ich rozstrzeliwali nad ogromnym rowem przeciwczołgowym, który znajdował się zaraz za linią Sanu w Koniaczowie. Już wtedy egzekucje trwały prawie każdego dnia przez dwa miesiące i pochłonęły około 8 000 ofiar. Byli to oficerowie liniowi i polityczni Armii Radzieckiej. Dopiero w roku 1943 Niemcy urządzili tu obóz. Do jego budowy zmuszano niektórych mieszkańców Koniaczowa i pobliskich wsi. Cały teren obozu miał kształt nieregularnego czworoboku przyległym z jednej strony wspomnianym już rowem przeciwczołgowym, ze znajdującymi się w nim ofiarami zbrodni. Cały obszar ogrodzono drutem kolczastym oraz obito szczelnie z trzech stron deskami o 5 m wysokości. Ponadto przy ogrodzeniu znajdowały się w pewnych odstępach wieże strażnicze, zaopatrzone w karabiny maszynowe i reflektory. Jeden z baraków przeznaczony był specjalnie dla zakładników. Obok tychże baraków na 3 drewnianych stosach palono ciała ofiar, podtrzymując płomień specjalnymi szybkopalnymi materiałami. Cała załoga obozu liczyła około 50 ludzi, przeważnie narodowości niemieckiej. W obozie usiłowano zacierać ślady zbrodni popełnionych przez okupanta w samym Koniaczowie i pobliskich wsiach. Te same metody stosowali zresztą hitlerowcy w Bełżcu, Sobiborze, Treblince, Działdowie i innych miejscach masowej zagłady. Specjalnie powołani w tym celu załoga wykopywała ciała ofiar z ziemi i paliła. Do palenia przywożono także ofiary z pobliskich Pełkiń i Wólki Pełkińskiej, gdzie poprzednio były obozy jeńców radzieckich. W ten oto sposób starał się okupant zatrzeć ślady masowych zbrodni.

Niezależnie od tej działalności w dalszym ciągu przywożono do Koniaczowa tak jeńców radzieckich, jak i osoby cywilne, które rozstrzeliwano i palono. Ogień płonął dniem i nocą. Ostatnią ofiarą bestialstwa hitlerowców była grupa jeńców wojennych, która obsługiwała krematorium. Tych świadków potwornej zbrodni hitlerowcy rozstrzelali z początkiem maja 1944 r. i ciała spalili na stosie, po czym obóz zlikwidowano.

A oto bilans strat ludzkich w poszczególnych obozach jenieckich na Rzeszowszczyźnie. Koniaczów — 20 tys., Majdan Królewski — 10 tys., Nehrybka — 4 500 (Włosi), Olchowce — 10 tys., Pełkinie — 5 tys., Pustków — 7 tys., Pikulice — 8 tys., Przekopana — 15 tys., Rymanów — 10 tys., Szebnie — 5 tys., Wólka Pełkińska — 8 tys. Jedynie w Porębach Dębskich i Porębach Wojsławskich śmierć poniosło tylko po kilkanaście osób. W sumie na całej dzisiejszej Rzeszowszczyźnie zagładzie uległo ponad 100 tys. jeńców wojennych. Fakt ten jeszcze bardziej obrazuje młodemu pokoleniu, jak drogą była cena wolności, ile ofiar i nieszczęść ludzkich pochłonęła II wojna światowa, rozpoczęta we wrześniu 30 lat temu.

Zagadnienie obozów jeńców wojennych na Rzeszowszczyźnie zostało opracowane przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie. Na temat ten zorganizowana będzie również konferencja popularnonaukowa w dniu 10 września br. w związku z XXX rocznicą Września. Po sesji problem ten zostanie przedstawiony w edycji książkowej, staraniem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie.

TADEUSZ KOWALSKI

W Galerii Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie otwarta została w dniu 26. VIII. br. Wystawa Malarstwa, Rysunku, Grafiki i Rzeźby Rzeszowskiego Okręgu ZPAP. Reprezentantem naszego środowiska plastycznego był artysta rzeźbiarz WŁADYSŁAW BUŻ z rzeszowskiego BWA. Ekspozycja licząca 26 obrazów, 3 rysunki, 20 grafik i 5 rzeźb 26 autorów została przyjęta przychylnie przez tamtejsze środowisko.

(a. m.)

Fragment ekspozycji *Fot. CAF — TARGOŃSKI*

KMP „GWOŹNICA" RZESZOWSKI

Tadeusz Kubas

WENECJA

gondole gondole
łabędzi śpiew

liry
śpiewają gondolierzy

bazar
broniony krzykiem
encyklopedią ryb
wyludnia miasto

dialog
w głąb ziemi
kamienia i wody
okręty domów
kotwiczy
w hadesie

Emil Granat

MIĄŻSZ I PESTKA

Wszystko — co wewnątrz. Na zewnątrz pozór
i zaledwie tło
i zarys doznań wątpliwych, w pośpiechu
odzianych w połysk ceny, jak kwiaty
naglone do rozwoju dla kształtów, barw
i zapłodnień,
po opóźnionej wiośnie, z których
wróżymy nieurodzaj i nietrwały
owoc.

Wszystko
sprawdzamy, biorąc lekko w palce
pestkę i miąższ — i to
jest w nas rzeczy tamtych
wartością.

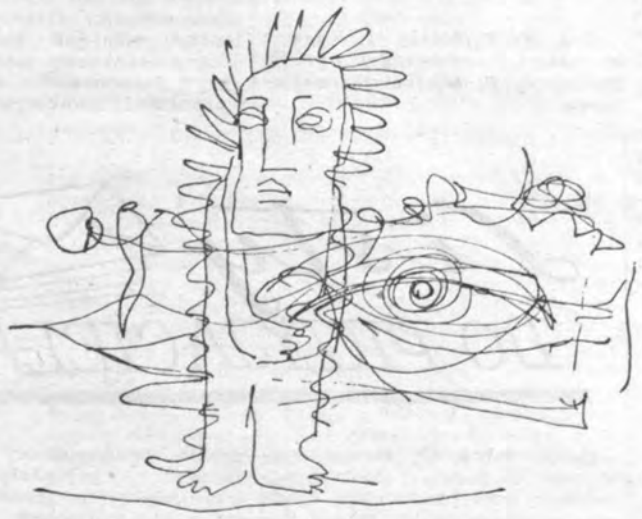

Czesław Piotr Kondraciuk

RANEK

Świt dotknął pola delikatnie
już trawa wkłada srebrne perły
ranne pacierze szepcą czajki
Znacząc skrzydłami szlak podniebny.
Ojciec zgarbiony klepie kosę
aż się zbudziło leśne echo
sen powędrował z pełnym koszem
wyśnionych marzeń polną ścieżką.
Surową twarz rozjaśnił święty
strącając łzy z drewnianych powiek
a słońce wzięło złotą wędkę
i ludzkie troski poszło łowić.

sierpień 1969 r.

Józef Janowski

W RZESZOWSKIM MUZEUM

Ziarnka spalonych kości
wyjęte z krajobrazu popielnicy
istnieją na mojej dłoni,
wiążą się w fakty.
Myśl jest na brzegu owocowania.
Wtedy
drążą mi twarz cudze oczy
ocalone od ognia
i dojrzewają kolory świerków.
Nad garby, nad okraki gór
Bóg Pogański
wznosi zmierzch —
zamazuje kolor.

Franciszek Ceglak

* * *

zostanie po nas posmak mgieł
ślady milczące, w których gasną
drzewa

niebo odarte z zachodu słońca
w kolumnach wiatru rdzawe ptaki

rzeźbienie olśnień w dosięganiu
gwiazd
nawiedzane przez wiotkie liście
śmierci

zostanie po nas krzyk żurawi
co w omszałej szybie rzeki
zwiastuje swoje zwycięstwo

Władysław Włoch

WIERSZ O WYNALAZKU

matka potrzeba
długo szedłem
nie powiem długo
na opak

(skądinąd orzeł
reszka skądinąd
tło)

tu stopę mi drewnianą
tu obojczyk gwoździa
kto ci trumienkę skroił tak bardzo udaną
że w oczach cię nieśli
gdy w maju nocy niedźwiedzica wielka
odmienia w morze latające ślepie

o spodki wirujące
na bezbarwnym wietrze

mosty do łaźni
sucha miotło wyśpiewaj
dosiadane krzesło z latającej ścieżki

Emilian Bliźniak

RZESZOWIACY NA MONT ORMEL

W dniach od 19—22 sierpnia minęła 25 rocznica ostatniej i najbardziej krwawej bitwy o Normandię — zamknięcia i likwidacji „Worka" Falaise — Chambois. Bitwa, w której szczególnie odznaczyła się I Polska Dywizja Pancerna. Przeszła ona do historii Francji jako „Stalingrad zachodniego frontu". Zamknięcie znacznych sił niemieckich w kotle koło Chambois przyniosło Niemcom dość duże straty i miało ogromne znaczenie strategiczne.

Bitwa o „Maczugę" i Chambois

Chambois oraz Mont — Ormel mała normandzka wieś niedaleko Chambois, jak również kompleks wzgórz o tej samej nazwie, były terenami ostatniej, ale decydującej bitwy o Normandię. W bitwie tej I Dywizji Pancernej wchodzącej w skład II Korpusu Kanadyjskiego gen. Simondsa przypadło niezwykle trudne zadanie zamknięcia okrążonej znacznej ilości wojsk hitlerowskich 7 armii niemieckiej. Zepchniętych do kotła w rejonie Falaise - Chambois przez nacierające z kierunku zachodniego i północnego: 1 armię amerykańską, 2 armię brytyjską i 1 armię kanadyjską. Zadanie postawione I Dywizji Pancernej wykonane zostało wzorowo przez polskich żołnierzy. Mające w tej bitwie kluczowe znaczenie Chambois i Maczuga zostały zdobyte 19 sierpnia i mimo wściekłych kontrataków wojsk hitlerowskich utrzymane do momentu likwidacji „Worka" Falaise - Chambois tj. do 22 sierpnia 1944 roku. Zwycięstwo to zostało okupione jednak dość dużymi stratami w ludziach i sprzęcie. W czasie walk Polacy wzięli do niewoli 150 oficerów, w tym dowódcę II korpusu pancernego, generała Otto Elfeldta i 4 pułkowników oraz 5,5 tys. żołnierzy. Zdobyli i zniszczyli całą masę sprzętu wojskowego różnego kalibru i typu. Dzisiaj na „Maczudze" dla upamiętnienia ostatniej walki o Normandię wzniesiony został pamiątkowy pomnik, na którym obok flag francuskiej, amerykańskiej, kanadyjskiej i angielskiej powiewa flaga polska. Obok pomnika stoi polski czołg „gen. Maczek" — symbol polskiego udziału w bitwie o Normandię. Do tej pory pozostała również polska nazwa wzgórz. Mont Ormel — Maczuga nadana owym wzgórzom przez dowódcę I Dywizji Pancernej, gen. Maczka.

Kordzik gen. Otto Elfeldta

W bitwie o Falaise Chambois i Maczugę brało udział 2 rzeszowiaków: p. Jakub Daniel z Rogoźnicy, pow. Rzeszów i p. Władysław Kacałaj z Żółkowa, pow. Jasło. Obaj byli żołnierzami 1 Pułku Pancernego dowodzonego przez płk Stefanowicza. O panu Jakubie Danielu z Rogoźnicy pisałem już artykuł w „Widnokręgu" nr 28 z 12 lipca 1969 r. Pragnę tu tylko dodać, że p. Jakub Daniel posiada osobliwą pamiątkę z walk o Maczugę — kordzik gen. Otto Elfeldta, który dostał się tam właśnie do niewoli. Drugim uczestnikiem walk o Chambois i wzgórza Mont Ormel był p. Władysław Kacałaj. Jego epopeja żołnierska w szeregach I Dywizji Pancernej jest również ciekawa jak p. Jakuba Daniela. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niemieckiej niewoli. Wywieziony najpierw do Niemiec, później do Afryki, gdzie przez 2 lata pracował w okropnych warunkach przy budowie kolei transsaharyjskiej. Po ucieczce z niewoli przedostał się do Anglii gdzie od 12 XII 1942 r. służył w 3 szwadronie 1 Pułku Pancernego I Dywizji Pancernej aż do dnia 28 X 1944 roku, tj. do momentu, kiedy został ranny na terenie Holandii pod miejscowością Ijpelar. Za zasługi wojenne został p. Kacałaj 4-krotnie odznaczony wojskowymi odznaczeniami polskimi, angielskimi i francuskimi. Po zakończeniu działań wojennych i demobilizacji wyjechał p. Kacałaj do USA, gdzie zmarł w Blommfield 4 lata temu.

Polski cmentarz wojskowy w Langannerie

O tym, jak krwawą była bitwa pod Falaise Chambois i na Mont Ormel słynnej „Maczudze" świadczy polski cmentarz wojskowy w Langannerie — Urville, gdzie spoczywa 660 polskich żołnierzy. Historia jego powstania jest dla nas, rzeszowiaków, szczególnie interesująca, ponieważ spoczywający tu żołnierze to w większości pancerniacy z I Dywizji Pancernej gen. Maczka, która została wprawdzie zorganizowana w Anglii w latach 1940—1944, ale zalążek jej stanowiła 10 Brygada Kawalerii Konnej (od 1937 roku — Brygada Zmotoryzowana), stacjonująca do wybuchu II wojny światowej w Rzeszowie. Szlak bojowy wielu spoczywających na tym cmentarzu żołnierzy prowadził spod Jordanowa poprzez Rzeszów, Lwów, Węgry, Jugosławię do Francji, a po jej kapitulacji do Anglii skąd już w ramach I Dywizji Pancernej w dniach od 29 lipca do 4 sierpnia 1944 r. przeprawili się przez Kanał La Manche do Normandii w miejscowości Courseulles.

Cmentarz w Langannerie został założony przez Anglików, tuż po zakończeniu działań wojennych. Jest to miejscowość znajdująca się 30 km od Kanału La Manche i leżąca na szlaku bojowym I Dywizji Pancernej. W roku 1950 cmentarz został przejęty przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Potigny i otoczony staranną opieką, między innymi przez byłych żołnierzy I Dywizji Pancernej Stefana Baryloka, Stanisława Kozaka, Franciszka Mazura oraz pochodzącego z woj. rzeszowskiego (pow. Nisko) — Piotra Miastkowskiego, współzałożyciela i pierwszego prezesa Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Potigny. Dzięki poparciu przewodniczącego Rady Generalnej departamentu Calvados p. Leonarda Gilles'a w roku 1954 rząd francuski (Ministerstwo Kombatantów) ufundował pomnik zaprojektowany i wykonany przez Polaka Biandeniego i Francuza Deuchateau, a na żołnierskich mogiłach zasadzono biało-czerwone róże. Od roku 1961 wydatki na utrzymanie cmentarza płaci rząd francuski, opiekę nadal jednak sprawuje Stowarzyszenie Kombatantów Polskich w Potigny, oraz miejscowa Polonia. Oni to właśnie z prezesem Barylakiem na czele, któremu należą się szczególne słowa uznania organizują corocznie od 1950 roku począwszy w drugą niedzielę sierpnia uroczystości na cmentarzu w Langannerie w rocznicę bitwy pod Falaise - Chambois. Biorą w nich udział obok miejscowej Polonii przedstawiciele ambasady polskiej i Konsulatu w Paryżu, attaches wojskowi Kanady i W. Brytanii oraz wielu Polaków z innych departamentów Francji.

W tym roku w 25 rocznicę bitwy pod Falaise - Chambois na uroczystości w Langannerie przybyła z Polski delegacja z byłym szefem sztabu I Dywizji Pancernej, a obecnie wiceprezesem Rady Naczelnej ZBoWiD gen. Franciszkiem Skibińskim na czele. Na polskim cmentarzu wojskowym znów zapłonęły znicze.

Wspomnienia tragicznego września

W każdym roku po uroczystościach na polskim cmentarzu wojskowym w Langannerie — Urville odbywa się z inicjatywy organizatorów tej uroczystości spotkanie zaproszonych gości z kombatantami i działaczami miejscowej Polonii. Połączone jest ono zazwyczaj ze skromnym przyjęciem, podczas którego obok oficjalnych przemówień kombatanci — byli żołnierze I Pancernej czy też uczestnicy francuskiego ruchu oporu (Resistance) dzielili się swoimi wspomnieniami z lat ostatniej wojny. Oczywiście wrzesień 1939 roku zajmuje wśród tych wspomnień jedno z czołowych miejsc.

Szczególnym zainteresowaniem uczestników spotkania cieszyły się wspomnienia gen. Franciszka Skibińskiego o udziale 10 Brygady Kawalerii Konnej w kampanii wrześniowej. Mnie osobiście opowiadanie gen. Skibińskiego przypomniało mniej smutny epizod z 1939 roku, który utkwił w mojej pamięci na zawsze. Otóż miałem przyjemność oglądać jeszcze jako dziecko wraz z moim ojcem moment spalenia 6 czołgów niemieckich zestrzelonych, jak wyjaśniał mi gen. Skibiński, przez pancerniaków 10 pułku strzelców konnych mających swoją pozycję na skraju wsi Rudna Wielka. Opóźniło to znacznie natarcie sił niemieckich w kierunku Rzeszowa. Zakończenie tych dorocznych uroczystości w Langannerie i Potigny następuje zawsze na legendarnej „Maczudze" i Arromanches — Courseulles, miejscu lądowania I Dywizji Pancernej.

Gen. F. Skibiński i jeden z najstarszych żołnierzy I Dywizji Pancernej F. Miałkowski z Potigny

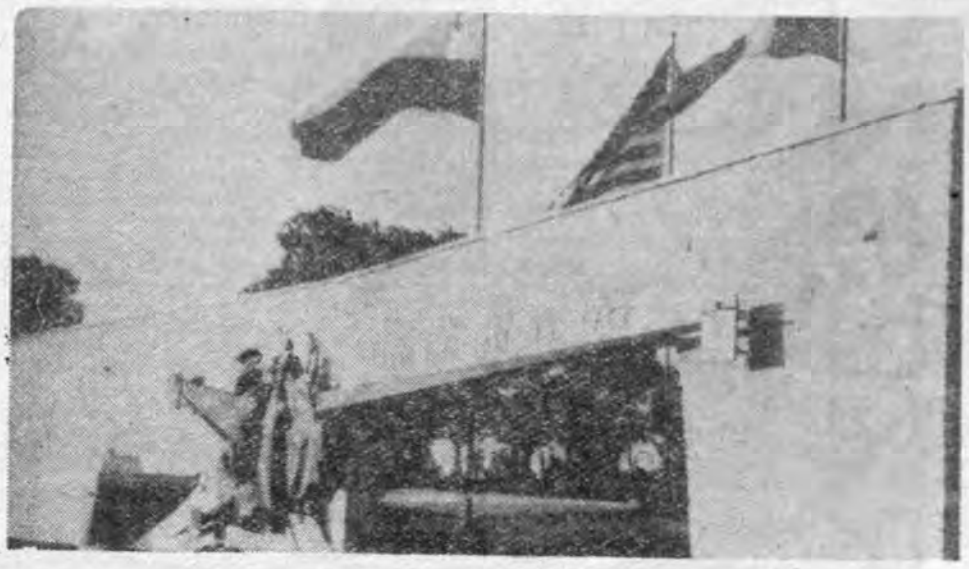

Pomnik de Coudehard — Mont Ormel

Jerzy Walawski

SOPOT

Przyjechali na festiwal do Sopotu: piosenkarze, organizatorzy przemysłu rozrywkowego, bez mała dwie setki dziennikarzy, tłumy entuzjastów piosenki, złota i srebrna młodzież, panienki z dobrego domu i wręcz przeciwnie... Swoi i obcy, krajowi i zagraniczni posłuchać, popatrzeć, wziąć udział w misterium piosenki pod płóciennym dachem Opery Leśnej i wysokim protektoratem „Pagartu"!

Ciut irytujący byli Anglicy, ci rodem z dorzecza Wisły — hal du ju du, Kuba — padający plackiem przed każdym obcym przybyszem, ale znakomicie lekceważący swoich. Niektóre symptomy tej choroby dotknęły nawet co młodszych spośród organizatorów. Trzeba dużej wyobraźni, żeby nazwać to tylko gościnnością... Nie narzekajmy jednak, mogło być znacznie gorzej. Mogliśmy na przykład złamać sobie palec przy podpisywaniu autografów, albo zostać oskalpowanym przez łowców autografów, którzy nie znali litości i srodze poturbowali pod „Grandem" parę osób. Albo nie daj Bóg, kazano by nam zaśpiewać „Dziwny jest ten świat", czy coś w tym sensie... Ta rozterka! Wystąpić, nie wystąpić! Co nas czeka? Kariera, czy krecha podobna do tej, jaką zafasowała koza Urena u pana Rena. Nie śpiewaliśmy! Wyręczył nas Młynarski, ale kiepsko. Parodyjka „Spotkamy się przy Wodogrzmotach" poniżej poziomu jego znakomitych niekiedy tekstów, a wspomniana już „Koza Urena" też nie lepsza.

Wolelibyśmy, żeby zastępował nas Muslim Magomajew. Ten dopiero dysponował głosem! W czasie koncertu laureatów oddalił się o dobre półtora metra od mikrofonu i śpiewał dalej tak swobodnie, jak gdyby występował w sali koncertowej o znakomitej akustyce, a nie na otwartej przestrzeni, przed pięciotysięczną widownią. Głos jak dzwon, a przy tym prezencja znakomita... nie było końca damskim zachwytom i westchnieniom.

Znakomity był radziecki piosenkarz, świetnie też zaprezentował się Hiszpan Michel. Śpiewał znane piosenki „Granadę" i „Valencję", ale jak śpiewał?! Ci dwaj piosenkarze, pieśniarze raczej, dysponowali najlepszymi warunkami głosowymi, nawia-

Listy DO PRZYJACIELA

Dzień dobry Ci mówię, stęskniona rozmowy i jeszcze napełniona latem, lenistwem, urodą lipcowo-sierpniowego świata. Pytałeś mnie niecierpliwie, czemu się nią nie dzielę z Tobą od razu, na świeżo? Może właśnie dlatego, że tak bardzo wszystko we mnie świeże? Jeszcze skotłowane, jeszcze nie pochowane w pamięć, tak bardzo bez porządku? Przecież nieraz pisałam Ci o tej wędrówce ludzi w pełni lata, o uporczywym szukaniu przez nich inności, gorącego słońca, nieznanych gór, o odkrywaniu miejsc dawno odkrytych, poznawaniu ludzi wszędzie jednakowych i pisałam, że wynika z tych poszukiwań i wiele, i nic. Jest w nas niecierpliwość poznania, dokładnie wymieszana z nagromadzonym doświadczeniem, z wiedzą nabytą jeszcze w szkole, dlatego szukając, wiemy, co zastaniemy.

Znałam pewnego malarza na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy jest szczery, przeto nie mam prawa powątpiewać, że późno zobaczone oryginały Picassa wprawiły go w zachwyt. Wstyd mi, ale widziałam znakomite reprodukcje Breughela, jednego z najwspanialszych, z najdziwaczniejszych, z najbardziej tajemniczych twórców — toteż kiedym onegdaj zobaczyła sześć breughelów grzecznie zdobiących ścianę bukareszteńskiego muzeum — więcej myślałam o bogactwie kulturalnym Rumunów — niż o samych breughelach. Olśnienie przyszło dopiero w chwilę później, gdy gigantyczny rembrandt, niczym ołtarz główny w bazylice buchnął na mnie światłocieniem, gdy zobaczyłam te wszystkie ugry i brązy podpalone czerwienią, gdy złoto jarzyło się w szamerunkach draperii, gdy twarz biblijnej królowej jedną połową trwała w cieniu, mroczna, pełna tajemnic. Wtedym pojęła, że uwielbienie dla Breughela kazało mi liczyć szczegóły: zbędne nogi, ilość psów na polowaniu, błazeńskich

ŚPIEWAJĄCY

sem mówiąc Muslin Magomajew, był na dwuletnim stypendium we Włoszech, występował w La Scali. Znakomicie godzi zresztą operę z lekką Muzą.

Nie sposób zapomnieć występu Szwajcara Henri Des, laureata Dnia Międzynarodowego. Piosenka jego kompozycji, do której napisał również słowa — „Maria Consuelo" — była bez wątpienia najciekawszym utworem festiwalu, świetnie przy tym zaaranżowanym.

Ze względu na czytelniczki wymieniam w pierwszym rzędzie piosenkarzy, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na interesującego Francuza Henri Tachan, doskonałego interpretatora, którego utwory były śpiewaną mimodramą.

Teraz coś dla panów, czyli Conchita Bautista, czyli najlepiej śpiewająca na festiwalu tancerka i świetnie tańcząca piosenkarka. Swoboda, sex, temperament... i nagroda publiczności. Panie nie były zachwycone Hiszpanką, zgodnie jednak przyznawały, że jej kreacje były oszałamiające. Dobrze zaprezentowała się Bułgarka Yordanka Christowa, Angielka Patsy MacLean, wreszcie z nie nagrodzonych i nie wyróżnionych filigranowa Włoszka Lucia Altieri oraz sympatyczna Finka Helena Katri.

Pamiętają zapewne telewidzowie i radiosłuchacze gościnny występ murzyńskiego piosenkarza Lon Sattona, który zdobył sobie bez reszty publiczność, uprzytamniając słuchaczom przepaść, jaka dzieli tego świetnego artystę od niektórych uczestników konkursu.

Nie powiodło się na festiwalu startującym poza konkursem „Skaldom". Przerwali swój występ po pierwszej piosence i podobno posypały się listy do radia i telewizji z protestami przeciwko lekceważeniu publiczności. Sprawa „Skaldów" powracała później w rozmowach kuluarowych, wielokrotnie walkowano ją na konferencjach prasowych. I trzeba przyznać dziennikarze solidarnie bronili zespołu. Rozmawiałem z Andrzejem Zielińskim, który tymi słowami tłumaczył mi przyczynę przerwania występu: „Nie słyszeliśmy siebie, nie mieliśmy pojęcia o tym, że słyszy nas publiczność zgromadzona przed telewizorami, skoro widownia Opery Leśnej dawała nam znaki, że nagłośnienie jest fatalne. Usprawiedliwił nas Lucjan Kydryński, poinformował ludzi, że defekt aparatury zaraz zostanie usunięty, ale niestety nie uporano się z tym. Nikt z ludzi odpowiedzialnych za techniczną stronę występu nie powiedział nam co mamy zrobić. Przy tym stanie nagłośnienia występ byłby nieudany i gdybyśmy się tłumaczyli z tego później niezorientowani telewidzowie mieliby prawo powiedzieć: złej tanecznicy i sukienka przeszkadza. Zdecydowaliśmy się zejść ze sceny"!

Ambitny zespół miał pecha i w zeszłym roku, bo tuż przed Sopotem przeżyli katastrofę samochodową, a teraz te usterki aparatury. Szkoda, że nie znaleziono dla nich miejsca na powtórzenie występu, tym bardziej że jedyne dwie piosenki, jakie zakupiono u nas w okresie festiwalu, to utwory „Skaldów": „Medytacje wiejskiego listonosza" i „Cała jesteś w skowronkach".

Spór o „Skaldów" toczył się dość długo i przypominano przy tej okazji, że wady aparatury nagłośniającej zdarzały się na festiwalu w Sopocie nie po raz pierwszy. Dowiedzieliśmy się przy tym, że dysponujemy sprzętem nie pierwszej jakości, prymitywnymi instalacjami itd. Nie sądzę, by podnosiło to wszystko rangę festiwalu w oczach gości zagranicznych, bo chociaż instalacji dostrzec nie można, to z łatwością dawał się słyszeć zbędny pogłos i nie pierwszej czystości emisja głośników.

Za to przy występie „Breakoutów" nikt nie mógł narzekać na słyszalność. Zespół dysponuje czterema 200-watowymi wzmacniaczami i podczas ich muzykowania parotonowe poszycie opery unosiło się trochę do góry. Siedziałem z zatkanymi uszami, na wszelki wypadek otwierałem usta: przeżyło się w czasie wojny parę bombardowań i trochę ostrzeliwania artyleryjskiego... Od takiej wybuchowej muzyki wolę nawet grę na drumli!

W poprzednich festiwalach było trochę kontrowersji pomiędzy ocenami międzynarodowego jury i gustami publiczności. W tym roku — nie wiem czemu to przypisać — na ogół zgodne były sądy. Ci piosenkarze, którzy obdarzeni byli największymi brawami, którzy bisowali na żądanie publiczności przeważnie otrzymali nagrody. Pomijam aplauz gapowiczów, młodzieży z auto-stopu, która tłumnie przybyła do Sopotu. Ci największymi oklaskami nagradzali najbardziej udziwnioną produkcję, premiowali „młodzieżowy styl" nie piosenki, nie interpretację, nie walory wokalne...

A propos stylu... bardzo źle prezentowały się piosenkarki w piżamach — czyli spodniumach jak to ktoś pięknie nazwał. Te szerokie ni spodnie ni sukienki odbierały artystkom wdzięk, podobnie jak fatalne fryzury w rurki, strąki czy innego typu makaron na głowie. I dziwnym trafem najlepiej prezentowali się najwybitniejsi — cóż, oni nie musieli nadrabiać strojem!

Chciałbym wspomnieć jeszcze o „Particie". Ta piątka dziewcząt, zespół towarzyszący wielu piosenkarzom napracował się solidnie i zasłużył sobie na duże uznanie. Dla nich obok Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji festiwal był chyba najbardziej męczący. Tak już jest jednak, że widzimy solistów, a nie dostrzegamy zespołów. Pięknie więc ze strony jury, że wyraziło tym razem uznanie „Particie".

Tak zakończył się festiwal. Bywalcy twierdzą, że był on lepszy od poprzedniego, przede wszystkim z tego względu, że obyło się bez łzawych produkcji nie pierwszej jakości. Liczą się cztery dni dobrej zabawy, liczą się miliony przed telewizorami i 20 tysięcy widzów w Operze Leśnej.

Zespół „Partita" i Joe Harris CAF UKLEJEWSKI

Zdzisław Kozioł

Refleksje powczasowe

Morze, nasze morze...

W rozkładzie lotów podano, że autobus z Rzeszowa do Jasionki jedzie około 30 minut. Teraz, po zbudowaniu wiaduktu tarnobrzeskiego, droga na lotnisko jest znacznie krótsza; przyjeżdżamy wcześniej, wystarczająco wcześnie, by przed odlotem wypić kawę lub herbatę, zaopatrzyć się w tak potrzebne dla wielu cukierki. Na lotnisku jest bufet, ale otwierany dopiero w momencie startu samolotu, o godz. 7. Czekamy więc i wyrzekamy na gastronomię, która nie chce zarabiać...

Lecimy, pożegnani uprzednio przez urzędniczkę LOT-u, która zdawkowo życzy nam przyjemnego lotu, informuje, że podczas startu i lądowania trzeba zapiąć pasy i nie palić papierosów. Pogoda wspaniała, więc przyjemnie leci się poczciwym Ił-14. W Warszawie jesteśmy o 8.15. Okazuje się, że większość pasażerów leci do Szczecina, Świnoujścia czy Międzyzdrojów. W sezonie Rzeszów ma bezpośrednie połączenie z Gdańskiem, do Szczecina natomiast trzeba się przesiąść w Warszawie, skąd najbliższy samolot odlatuje dopiero o 12.10. Za mało czasu, by ewentualnie pojechać do miasta, wystarczająco dużo by znużyć się oczekiwaniem na lotnisku, które na szczęście, po otwarciu dworca zagranicznego, jest obecnie i dla podróżnych krajowych znacznie wygodniejsze. Na uznanie zasługuje też personel LOT-u; niezależnie od zajmowanego stanowiska każdy jest uprzejmy, służy radą i informacją.

Pracownicy Polskich Linii Lotniczych umieją uprzyjemnić podróż; chociażby załoga AN-24b, maszyny o wiele bardziej komfortowej, niż latające z Rzeszowa Iły. Miła i bardzo ładna stewardessa troszczy się o podróżnych z dziećmi, ludzi starszych, podnosi na duchu nowicjuszy, zazwyczaj mocno zdenerwowanych swym pierwszym lotem. W kilku językach informuje, że lecimy na wysokości 5 tys. metrów, z prędkością 550 km/godz. Prawdziwą frajda, zwłaszcza dla dzieci, było zaproszenie do zwiedzenia kabiny pilota, w której jeden z trzech członków załogi uprzejmie odpowiadał na pytania. Lot rzeczywiście bardzo przyjemny.

Lądujemy w Goleniowie, i na tym lotnisku zaczynają się kłopoty pasażerów udających się na wyspę Wolin. Kierowca autobusu, nieużyty mruk, a liczni taksówkarze straszą trudami podróży autobusem PKS lub pociągiem, oferują swoje usługi: 300—400 zł za kurs do Świnoujścia. Do Świnoujścia i Międzyzdrojów udawała się większość pasażerów, ale autobus LOT-u łączy Goleniów ze Szczecinem. Warto, by w przyszłości Polskie Linie Lotnicze, tak dbające o wygody podróżnych, uruchomiły linię chociażby mikrobusową z perłą zachodniego wybrzeża — Świnoujściem. W powietrzu, w dwóch somolotach, spędziłem w sumie 2 godz. i 50 min., natomiast cała podróż z Rzeszowa do Międzyzdrojów wyniosła blisko 12 godz., niewiele mniej niż pociągiem. Szczególnie uciążliwym był odcinek Goleniów — Międzyzdro-

(Ciąg dalszy na str. 7)

czapeczek płonących purpurą na ślizgawce, prosięta na półmiskach; w Breughelu nie było już tajemnic dla oka; z Rembrandtem rzecz ma się inaczej — zbyt potężny, by cokolwiek jego podważać, poddawać w wątpliwość, oglądany jak pomniki, przyjmowany jak dogmat superdoskonałości — nagle, w oryginale nieznanym z reprodukcji ożył, kazał szaleć oczom, które, zdumione, podpatrywały m e t o d ę, urzeczone — obiegały po raz pierwszy mnogość detali budujących treść.

Nie wiem, czy rozumiesz, dlaczego zatrzymało mnie to wspomnienie akurat, bynajmniej nie „letnie"? Zdaje mi się jednak, że można je przenieść na resztę podróży wakacyjnych i na każdą domenę poznania. Zalani środkami masowego przekazu (obyż pokarany został ten, co wymyślił ten potworny termin!) wszystko wiemy s z y b c i e j niż z o b a c z y m y. I to jest nasze osiągniecie — i to jest nasza tragedia.

Jeżeli najdłuższy most w Europie, spinający Dunaj i bratający Bułgarię z Rumunią oglądam w doskonałej fotografii najpierw, później przejeżdżam z operatorem kroniki filmowej w ciemnej sali kina, a na końcu polskim fiatem przemykam się przezeń po odprawie celnej — to jakież wzruszenia poza „naprawdę wściekle długi" mogą mnie jeszcze opadać? Gdzież jest w Europie takie miejsce stworzone ręką ludzką, którego by dokładnie opisano, nie skatalogowano, jeśli zasługuje na uwagę? I gdzież znajdziesz uczciwego turystę, który by tego katalogu, czy opisania p r z e d podróżą nie wziął do ręki? Dlatego śmiem twierdzić, że więcej w tym naszym podróżowaniu sprawdzania niż poznawania; bez przerwy sprawdzamy Breughela z Breughelem, fotografię meczetu w Constanzy z meczetem w Constanzy, amforę rzymską zdobiącą książki Świderkówny z amforą rzymską z Nessebarze. I wszystko jest takie samo choć piękniejsze, bo żywe, materialne, trójwymiarowe i można to dotknąć, zajrzeć od tyłu, pominąć czasem fasadę, zachwycić się szczegółem, niewidocznym na reprodukcji drobiazgiem. Ale też wszystko zachwyciłoby bardziej, wzruszyło prawdziwiej — gdyby już raz gdzieś kiedyś nie było zapamiętane w mniej doskonałym wzorze. Bo istnieje w człowieku potrzeba naiwnych zachwytów, czystych, naturalnych wzruszeń.

Powiesz, jakżeby mogło zachwycić człowieka, gdyby nie było w nim najpierw całych pokładów wiedzy o przedmiocie? Może masz rację: dziecko widzi obraz Goyi i czasem, które tam wrażliwsze powie „ale potwór"; znika mu cały sens, dlatego ów potwór się jeży i cała uczona dociekliwość, co autor chciał powiedzieć. Chciałabym jednak jak dziecko czasem wykrzyknąć „ale wielkie!" — cóż, kiedy nie mogę, bo „ale wielkie" już przedtem wiedziałam, że będzie wielkie, widziałam wcześniej kształt potwora i miałam czas na snucie domysłów właśnie typu co autor chciał powiedzieć i jak potężną miał wyobraźnię.

Pracowicie więc posprawdzawszy urodę arcydzieł, nagromadziwszy we własnym oku te wszystkie muzea, meczety, starorzymskie ruiny, w dodatku po ludzku i w przelocie nazachwycawszy się taniością i kształtem buta w Budapeszcie — najbardziej polskim w atmosferze zakątkiem Europy — siadam w secesyjnej kawiarence i parząc ręce odrobiną pachnącej czerni, powracam myślą w te odpryski długiej podróży, które spadły na mnie niespodziewanie. I wierz mi, że nagle czynię odkrycie, że była nimi po prostu żywa przyroda: inne natężenie zieleni, inny, jeszcze niewidziany nigdy kolor nieba, wody, inny kształt góry, inny zapach owocu, inna ryba. To jest właśnie ta cząstka lata, którą każdy przywozi na własność, której opowiedzieć nie można, bo albo zagubi się zapach, albo rozpłynie soczystość, albo zepsujesz barwę.

Gdybym Ci chciała opowiedzieć jak wygląda nocą delta Dunaju, jak wloką się po szosach mgły, jaką zgnilizną wieje od łąk płaskich i jak w tych roz lewiskach pusto — i tak niewiele zobaczysz i zupełnie nie zrozumiesz, dlaczego mogę ją porównać do węgierskiej puszty, zaczętej jednym z najpiękniejszych miast — Segedem, a kończącej się gdzieś niemal pod Budapesztem. Tam wilgoć — tu susza, tam rzeka jeszcze nieuspokojona po wielkich powodziach — tu trawa spalona słońcem i skrawka cienia — a w sumie to samo uczucie bezradności przed pustką. Zaś w Bułgarii góry jak truskawki kopulaste, albo jak wielkie stoły płaskie, a na zboczach brzoskwinie i słońce. Gdzieś w Słonecznym Brzegu piach na diunach jak puder Coty'ego o pieszczotliwej nazwie Miel czyli miód, wielki kaktus histerycznie cienki w tarasowych ogrodach Bałcziku i olśniewająca biel plaży w Kraniewie. Jeszcze cyple wrzynające się w morze, rozprażone słońcem i później już tylko chmary ludzi. Tak dużo ludzi, że nie ma miejsca na zadumę, na siebie samą. Wyjmujesz wtedy aparat i filmujesz syna na tle kaktusa, syna na tle plaży, syna na tle cypla, męża na tle baru, na tle świątyni, amfory, kła mamuta, ryby — płachty, oboje na tle Bułgarii, Rumunii, Węgier. Później przyjeżdżasz do domu — oglądasz filmy i nie wiesz, czy kaktus był w Bułgarii czy w Rumunii, czy to ryba czy syn, czy w tym cieniu to jest świątynia czy góra kapelusza turystki pakującej się akurat w tło.

Z rozpaczy, żeś coś poknocił, pakujesz maleńki neseser, stary sweter i uciekasz tradycyjnym obyczajem do Kazimierza na wypoczynek od świata. Tam włazisz pod stary dąb z książką w ręce i marzy Ci się od razu, że zmartwychwstał stary Berens, oczyścił knajpę z chuliganów i siadłeś sobie nocą na tarasie z kieliszkiem benedyktynki. Pachną Ci wtedy głogi, mgły snują się po Wiśle, w Farze coś skrzypi — pewnie gotyk ze starości, gdzieś zaśmieje się długonoga dziewczyna, a wąwozy szumią o wszystkich latach, które tu spędziłeś, o wszystkich porażkach i szczęściach, któreś nagromadził i jest tak jak trzeba, żeby było w lecie — leniwie, kochliwie, po polsku.

Gdybyś przypadkiem zawędrował pod ten dąb, którego nie ma i który jest, bo kilkusetletniego Niemcy w 44 z furią odcięli od korzeni, a Polacy w 45 ponownie zasadzili wątłą gałązkę — to obejrzyj sobie owo młode drzewo. Dobiegając ćwierćwiecza, zapowiada się pięknie i też po polsku — może dlatego, że wyrasta z sentymentów i uporu.

Sentymentalnie więc Cię pozdrawiam, a Ty pozdrów ode mnie wszystkich Przyjaciół, którzy z różnych stron Polski pisali mi swoje urlopowe dzień dobry.

KRYSTYNA

ADAM JANUSZ BIEŃ

UŁANI

OPOWIADANIE

Szli, upacie parli naprzód, a szarość ich spłowiałych i zakurzonych mundurów świadczyła o przebytej drodze, o marszu dłuższym niż zimowe noce. Nie stanowili już jednolitej armii; nie należeli do jednego pułku, każdy z nich reprezentował inną broń.

Na czele oddziału pędził ułan. Biały koń z roztarganą grzywą szedł ostrym kłusem, jeździec zaś, nisko pychylony nad karkiem siwka, trzymał w wyciągniętej dłoni rozwinięty biało-czerwony proporczyk. Za wodzem na białym koniu maszerowali piechurzy z plecakami i karabinami przewieszonymi przez ramię. Kilku z nich wyglądało trochę niepoważnie: świątecznie i zupełnie nie tak, jak powinno wyglądać się podczas prawdziwej wojny. Maszerowali krokiem dziarskim, defiladowym, sztywno wyprostowani, przybijając butami do ziemi niczym na paradzie. Dopiero ci dwaj, biegnący w stronę nieprzyjacielskich okopów, z granatami mogącymi wybuchnąć w każdej chwili — wprowadzali nastrój grozy. Ich widok przypominał ojców, którzy nie wrócili od września i nie pisali do nas nawet listów, bo przecież granaty nie wybuchają tylko po to, żeby narobić hałasu i postraszyć hukiem stare babki. Za tymi dwoma z granatami w uniesionych dłoniach, szedł marynarz bez okrętu. Zamiast krążownika lub podwodnej łodzi — miał armatę. Ciągnął ją na lince, bo chłop był na schwał, gruby, wysoki, najwyższy ze wszystkich, twardy jak dąb, silny jaz Zbyszko.

Nie wiem doprawdy, co stało się z kanonierami i nie przypominam sobie skąd w oddziale wziął się akurat ten marynarz z fajką w zębach. To wszystko działo się tak dawno, że trudno wymagać ode mnie, abym pamiętał dokładnie każdy drobiazg i każde zdarzenie. Płótna mistrzów bledną z czasem i traca pierwotne kolory. Pamięć jest mniej trwała niż farby; obrazy rozmazuja się i zatracają ostrość konturów, akcja dawnych wydarzeń rwie się jak zużyty film. Kiedy chce to wszystko powtórzyć, ogarnia mnie dziecinny lęk przed powrotem złych snów, podczas których pościel lepi się do ciała, pot kroplami skapuje z czoła, a krzyk tkwi jeszcze w ciemnawym rogu pokoju. co stał się przybytkiem zjaw przybierających postać dobrze znanych sprzętów: fortepianu z zakurzoną klawiaturą, skrzypiącej szafy, chwiejącego się kredensu z uszkodzoną nogą. Lepiej już będzie, jeśli przestaną nawiedzać mnie mary przeszłości, jeśli znikną nawet z pamięci. Nie chcę, aby powtórzył się głuchy stukot padającego na ziemię ciała i mój krzyk przeraźliwy, wydobywający się z gardła suchego jak pusta studnia; nie chcę, aby palce zanurzyły się w ciepłej kleistej cieczy, która dziwi tak bardzo, że aż przestaję krzyczeć, a potem, w słabym świetle latarki, gdy zbliżam do oczu ręce — krzyk mój przemienia się w jęk, w szloch histeryczny, w pisk rozgniatanej myszy, bo ciecz ma barwę krwi, a dziadek nic nie słyszy i ja zaczynam domyślać się, dlaczego on ogłuchł, dlaczego leży bez ruchu i nie reaguje na mój głos, i nie ucieka przed butem kopiącym go prosto w twarz.

Ile razy budziłem się w nocy zupełnie mokry? Zachłystywałem się powietrzem z zachłannością topielca, którego łaskawy prąd rzeki zniósł na mieliznę. Ile razy ściągałem z głowy cierniową koronę, choć w rzeczywistości były to tylko gwoździe żołdackich butów... Nie wiem, nie liczyłem. Któż zresztą podejmie trud zliczenia kropel deszczu. Nie prowadziłem rejestru nocy wypełnionych koszmarem strachu, nagłych przebudzeń i nadsłuchiwania, czy już idą...

Nikt wtedy nie ocalał z pogromu, zginęli wszyscy: ułan na białym koniu, piechurzy, ci dwaj z granatami i marynarz z armatą. Babka umarła trochę później, już po wojnie, a krzyż na grobie dziadka dawno stoczyły korniki. Ja tylko zostałem i ten obraz w mojej pamięci, bardzo niewyraźny rysunek, który wydawałby się snem, gdyby nie ból powracający systematycznie od czasu do czasu jak przypływ morza: ból — rzecz namacalna palcami — o tu, nieco niżej, panie doktorze, co pyta pan, czy nie miałem złamanej czaszki? Niestety, nie przypominam sobie... Boksu nie cierpię, wypadkowi żadnemu nie uległem, chyba że tamto... drobiazg, niech pan da aspirynę i niech pan nie nazywa tego migreną, bardzo proszę, wszystko tylko nie to, nie znoszę tego słowa, zaczynam od razu chorować, kiedy widzę u kogoś kpiący uśmieszek na ustach i kiedy słyszę terminologię: „pańska choroba" albo „trudne dzieciństwo". Myślę, że to ani jedno, ani drugie, tylko właśnie to, co zdarzyło się przed laty, o czym zapominam w dzień, lecz gdy budzę się w nocy i słyszę echo swego krzyku — widzę to znowu, choć ze szczegółów pamiętam najlepiej

okienny parapet: zwykły, trochę obdrapany, pożółkły. Ale jeśli nie wolno wychodzić z domu, to nawet taki parapet potrafi przemienić się w najpiękniejszy plac zabaw. Jego przybrudzona biel udawać może śnieżną pustynię, skandynawski lód lub łachę nadwiślańskiego piachu.

Po śnieżnej pustyni, w palącym słońcu Południa, w ciepłym piachu nadwiślańskim brodził ułan na białym koniu, a za nim szli piechurzy, ci dwaj z granatami i marynarz z armatą. Nigdy nie tracili dobrego numoru śpiewając głośno i odważnie „wojenko, wojenko..." albo jakąś inną pieśń zakazaną, której słowa przerażały babkę, starą i lękliwą, błagającą o spokój, bezustannie wzywającą boskiego miłosierdzia, bo przecież ktoś mógłby usłyszeć i donieść, a wtedy...

— O Boże, lepiej nie wywoływać wilka z lasu — babka spogląda w stronę drzwi oczekując dudniących twardych kroków, natomiast dziadek, który zawsze lubi się z nią trochę posprzeczać, chrząka i głosem grubym jak basy wiejskiej kapeli, dołącza do nas, ciągnie razem z nami, ze mną i z moim wojskiem, pieśń zakazaną tak donośnie, że aż szyby zadrżały i zdawało się, że zaraz wyleca, choć nie wypadły podczas bombardowania.

— Ciszej, na miłość boską!

— A czemuż to, kochanieńka, mamy być ciszej?

— Bo przyjdą i wywiozą albo zabiją na miejscu, postawią pod murem na Małym Ryneczku...

Lament babki nie robi na nas wrażenia. Śpiewamy. Babka ze strachem spogląda w okno, za którym po przeciwległej stronie ulicy spaceruje żołnierz z trupimi czaszkami, w butach podkutych i lśniących srebrzystością lustra. Jego kroki stukają rytmicznie po kamiennych płytkach. Chodzi tam i z powrotem od bramy do rogu, nie śpieszy się, przystaje, zagląda przez szyby. Co on tu robi? czego szuka, na kogo czeka? kto go tu przysłał? A może po Mońka przyszedł, może ktoś mu powiedział, że on mieszka w starej komórce na podwórzu, gdzie szewc trzymał przed wojną kozę, że głosu ludzkiego zapomniał i beczy jak prawdziwa koza. a gdy rozlegnie się jego bek żałośliwy, ludzie wynoszą mu ukradkiem coś do zjedzenia, żeby nie zginął z głodu.

— O Jezu kochany, Jezu najsłodszy — szepce babka. — Niech zło omija nasz dom, niech Pan Bóg ma nas w swej opiece, niech ten żołnierz ogłuchnie, aby nie słyszał waszego śpiewu...

— Przestań!

— Kto? — dziwi się babka. — Ty do mnie mówisz? Ja mam przestać, czy raczej wy obaj...

— Ty — mówi dziadek. Czerwieniejąc ze złości na twarzy, podnosi głos: — Tylko ty! My jesteśmy u siebie, we własnym domu, w swoim kraju, on jest tutaj obcy, ten przybłęda — wskazuje palcem sylwetkę żołnierza, którego cień szarą smugą kładzie się na śniegu i zagląda w okna.

Podchodzę do żółtego parapetu, bo nie chce dłużej słuchać ich kłótni. Wolę znaleźć się wśród swoich żołnierzy, śpiewać razem z nimi i wydawać im rozkazy: — Bagnet na broń! Naprzód! — Gra trąbka. W wyciągniętej ręce ułana powiewa proporczyk. Ci z granatami ledwie nadążają za ostrym galopem wodza. Ostrożnie, nieprzyjaciel przed nami!

Ktoś puka..

Podnoszę głowę. Tafla okiennej szyby ścięta białym kwiatem mrozu. Za nią, jak za kurtyną, zimowy zmierzch. Na jego szarym tle czernieje groźny cień: to on, to jego kroki dudnią i straszą. Spaceruje flegmatycznie po nie swojej ulicy i zagląda do mieszkań. Dlaczego nie siedzi w swoim domu Niech wraca tam, skąd przyszedł, a jeśli nie... — Naprzód! — wołam i patrzę z nadzieją na białego ułana ściskającego w dłoni lancę ostrogą jak igła. — Do ataku, ruszaj się, na co czekasz, głupcze...

Babka zatyka mi usta.

— Przecież on ma uszy! Zwabisz go tu swoim krzykiem, tak nie można...

— Źle czynisz, kochanieńka — przerywa jej dziadek. — Niech dzieciak bawi się swobodnie.

Odpowiadam mu uśmiechem. Nic nie mówię, bo obaj rozumiemy się bez słów. Wystarczy, że popatrzymy na siebie i od razu wiemy o co chodzi. Dziadek to najlepszy przyjaciel Zastępuje mi ojca, którego zupełnie nie pamiętam i nie jest moim kumplem serdecznym, najserdeczniejszym ze wszystkich. Ale teraz, kiedy zachęca mnie do zabawy i kłóci się z babką, udowadniając jej, że pieśń syci prawie tak samo jak chleb — nie w głowie mi żadne zabawy ni śpiewy. Milknę i z lękiem spoglądam w stronę okna, które straszy czarnym cieniem obcego żołnierza, maszerującego ulicą. Ktoś przyczaił się tam za oknem i puka natarczywie do szyb, puka coraz głośniej, coraz silniej...

Babka urwała w pół słowa. Zbladła jak świeżo malowana ściana. Z jej twarzy zniknęła gęsta sieć fioletowych żyłek pulsujących zawsze krwią. — Jezu słodki — zajęczała — Jezu najdroższy, od złego uchroń nasz dom, niech nieszczęścia przestana nas nawiedzać, miej nas w swej opiece...

Dziadek spokojnie zbliża się do okna. Wygląda na ulicę.

— Przestań narzekać, kochanieńka — mówi z uśmiechem. — Durnych wróbli się boisz?

Mroźne powietrze wtargnęło do mieszkania. Dziadek wychyla się się i z misternie plecionych sideł z końskiego włosia wyjmuje zmarznięte, trzepoczące w dłoniach, szare niczym grudki ziemi, drobne ciałka ptaków.

— Będzie rosół — śmieje się wesoło. — Chudy, bo chudy, ale rosół prawdziwy na ptasich gnatkach.

Zawstydziłem się: źle ze mną i z moimi nerwami, skoro głupie wróble zdołały tak mnie nastraszyć. Przecież tamtego, co spacerował po drugiej stronie ulicy, od dawna już nie ma, odszedł nie wiadomo kiedy. Nikt nie chodzi pod oknami, nikt nas nie szpieguje. Naprzeciw, rozbity bombą dom przeraża nagością wypalonych murów. Z gruzów wyłażą dzieciaki. Pewnie schowały się tam, czekając aż odejdzie ten obcy z trupimi czaszkami. Teraz są już odważne, zwołuja się hałaśliwie piskliwymi głosami. Poznaję ich z daleka, widzę piegowatą Ankę, Najstarszego w butach po ojcu i jeszcze paru. Bawią się w rozstrzeliwanie. Postawili Pyzatego pod murem i zabijają go pigułami ze śniegu. Zaraz im się to znudzi, przyjdą pod nasz dom, zaczną mi pokazywać języki, wypinać tyłki i wrzasną zgodnym chórem: — Maminsynek, dupalala, w oknie się opala...

Świnie! Jeśli by mnie przezywali „szczun", to bym się nie obraził, bo to brzmi zupełnie inaczej i mniej obelżywie aniżeli „maminsynek". Nie mają prawa tak mnie nazywać, bo ja swoją mamę znam tylko z fotografii. Babka mówi, że ona była bardzo piękna, oczy miała śliczniutkie, jasne jak niebo pogodne, błękitniejsze nawet niż chabry w zbożu, ale na fotografii tego nie widać, gdyż klisza czarno-biała.

Odchodzę od zimnej szyby. Nie chcę się niepotrzebnie denerwować, nie chcę patrzeć na wykrzywione twarze dzieciaków, nie chcę słyszeć ich piskliwych głosów.

Dziadek zrozumiał.

— Nie martw się — mówi — niedługo pociepleje... Kiedy zaświeci słońce, można chodzić w butach trochę dziurawych albo na bosaka. Wiosną trawa zielonym dywanem, ściele się pod stopami, ciepły piach otula nogi miękkością puchu, a gorący kamień grzeje lepiej niż walonki.

Za szybą biało jak w szpitalu. Gdzie spojrzeć — śnieg. Prószy, dosypuje, głębokimi zaspami zalega opuszczone uliczki. Spadnie go jeszcze odrobinę, a buty Najstarszego okażą się zbyt krótkie. Będzie siedział w domu uwięziony mrozem podobnie jak ja i przestanie wreszcie włóczyć się z banda dzieciaków wrzeszczących mi pod oknami: — Maminsynek, dupalala...

Zatykam palcami uszy.

Wytrzymam. Wiem, że wytrzymam, choć niebo codziennie mruczy złowrogim warkotem silników. Kiedy otwieram oczy, wydaje mi się zawsze, że to babka klepie pacierze. Patrzę w okno zakryte czarną storą i słyszę pomruk samolotów. Chowam głowę pod kołdrę, zatykam palcami uszy, ale ta moja dziecinna próba ucieczki nie mogła mnie uchronić przed tym, co stało się naprawdę którejś nocy, innej niż wszystkie, bo wyjatkowo spokojnej, cichej, z nor malnym niebem błyskającym gwiazdami, z pyzatą gębą tłustego księżyca. Podczas takich pięknych nocy zimowych śnią się dzieciom krasnoludki, po skrzypiącym śniegu kroczą dzielni rycerze podążając w stronę zaklętych zamków, gdzie w kryształowych komnatach drzemią śliczne, zaczarowane przez wiedźmy, nieszczęśliwe księżniczki. Innym znów na odmianę śni się Robinson Cruzoe, święty Mikołaj z workiem pełnym prezentów albo ucieszny Tomcio Paluszek, a mnie akurat śniły się buty: eleganckie, juchtowe, na grubej podeszwie, ciepłe, mocne i takie piękne, że bez wstydu można pójść w nich do kościoła i stanać przed głównym ołtarzem lub udać się za miasto na okoliczne wzgórza, aby pojeździć trochę na nartach.

Leciałem właśnie z wielkiej góry na deskach szybkobieżnych — jesionowych, spadałem ze szczytu niczym ptak na skrzydłach, w uszach grał mi wiatr, śnieg pryskał spod nart, czerwony szal furkotał wesoło, drzewa pędziły obok i było dobrze, bardzo dobrze, wspaniale, gdyby nie łomot, początkowo niezbyt głośny, potem silniejszy, narastający z każdą chwilą, przeradzający się w kanonadę, ogłuszającą jak salwa armatnich wystrzałów. Myślałem, że to serce i nie zdziwiłem się wcale, bo przy takiej szaleńczej jeździe serce może łomotać i pęknąć nawet, ale pomyliłem się, niestety, to nie było pulsowanie serca, tylko walenie kolbami w drzwi. Szeroko otwartymi oczyma rozgarniałem ciemność i jeszcze nie wierzyłem, miałem nadzieję, że to nie oni, że ominą nasz dom, pozostawiając go w spokoju; pragnąłem, aby to były zziębnięte ptaki tłukace dziobami o szyby.

Poderwałem się.

— Dziadku...

Mój szept utonął w szmerze ich rozmowy. Usłyszałem ściszony głos: — Nie budź go, niech śpi! Dziecku nic nie zrobią...

Drzwi wyskoczyły z zawiasów. Klasnęło jak gdyby ktoś bił brawo na koncercie. Cień dziadka zatańczył na ścianie i osunął się po niej na podłogę. Lament babki przemienił się w spazmatyczny szloch. Dziadek trzymając się oburącz za głowę próbował wstać.

Zacząłem płakać.

Wilcze ślepia ich latarek obmacywały łapczywie pokój. Ślizgały się po sprzętach i dotknęły mojej twarzy. Spociłem się od razu, mimo że niczym nie przypominały ciepłych promieni słońca. Na całe szczęście nie trwało to zbyt długo, odeszli od mego łóżka, a stukot ich podkutych butów przeniósł się w inny kąt pokoju, gdzieś pod okno, skąd poprzez lodowatą taflę szkła przedzierał się stłumiony, żałośliwy bek, dobiegający z komórki, w której przed wojna szewc trzymał kozę.

Wiedziałem już: oni przyszli po Mońka, szukają go wszędzie, bo Najstarszy mówił, że takim jak Moniek nie wolno żyć, z ich włosów robi się szczotki, a z tłuszczu mydło. Ale Moniek przecież tak bardzo wychudł w ostatnich czasach, że nie wiem doprawdy, co oni mogliby z niego zrobić, chyba tylko odżywczą maczkę dla ryb, które nigdy nie trafiłyby na szabasowy stół.

Jeden z tych, co stali przy oknie, chlusnął strugą światła w czerń podwórza. Wstrzymałem oddech. Czekałem na odgłos strzału. Nie oddychałem minutę i zacząłem się dusić. Unosząc głowę, spoglądałem w stronę okna i właśnie wtedy spostrzegłem swoich żołnierzy. Maszerowali dziarsko po białym parapecie. Tamten z latarką uśmiechnął się ironicznie.

— Bij — powiedział — bij — powtórzyłem, zagryzając wargi.

Zaskoczył mnie dźwięk własnego głosu, chrapliwy, szorstki.

W ciszy, jaka zapadła, rozległ się rechotliwy śmiech tamtego. Potem zgarnął ich wszystkich jak śmiecie i niedbałym ruchem ręki zrzucił na ziemię.

— Kaput!

Umierali milcząc.

Najdłużej pastwił się nad biało-czerwonym proporczykiem. Rozgniatał go uparcie, miażdżył obcasem, ścierając na proch. Dziadek poruszył się niespokojnie i coś powiedział. Nie potrafię powtórzyć jego słów, bo mówił obcym językiem, niepojętym dla mnie, szczekliwym szwargotem. Mówił głośno i ostro, i na pewno zaczerwienił się przy tym na policzkach, krew uderzyła mu do głowy, bo zawsze tak bywało, kiedy się czymś zdenerwował.

Tamten z latarką, nie wyjmując jej nadal z ręki i uśmiechając się wciąż lekceważaco, uderzył podstępnym ciosem. Tępy odgłos padającego ciała zagłuszył jęk babki i smętny bek Mońka.

Wyskoczyłem z łóżka. Odrzucony celnym kopniakiem, upadłem obok dziadka, który wyglądał tak jak gdyby przed sekunda ułożył się wygodnie do snu.

Szarpnąłem go za ramię.

— Wstań...

Jego dłoń, choć jeszcze ciepła, osunęła sie bezwładnie na ziemię.

— Dziadku! — zawołałem i umilkłem przerażony swoim odkryciem, bo ciecz, której dotknęły moje palce i usta, nie miała słonego smaku łez. Przestałem więc krzyczeć i płakać. To wszystko okazało się bezskuteczne. Jak wściekły pies wbiłem zęby w gładziutką skórę wyglancowanego buta. Gryzłem i zanim ból szmata nieprzejrzystej mgły zasłonił mi oczy — zdążyłem jeszcze spostrzec i zapamiętać, ołowianego żołnierzyka, którego ostra lanca tkwiła zanurzona po rękojeść tuż obok moich chwiejących sie mleczaków, zbyt kruchych jak na tę dobrze wyprawiona, twarda cholewę buta, kopiącego w twarz, w brzuch, wszędzie.

Morze, nasze morze...

(Ciąg dalszy ze str. 5)

je; po przeszło dwugodzinnym oczekiwaniu masz do dyspozycji autobus PKS, lecz żadnej gwarancji, że się do niego dostaniesz, bo to tzw. wóz przelotowy, nader w sezonie przepełniony. Pozostaje więc nie mniej zatłoczony i bardzo niewygodny pociąg osobowy, który wlecze się i wlecze.

Na stacji PKP w Międzyzdrojach, jak w każdym kurorcie krajowym i zagranicznym, nagabują przyjezdnych, oferujący kwatery. Mnie jakiś podejrzany typ proponuje niekrępujący pokój po 40 zł za łóżko. Pokój mi nie potrzebny, bo mam skierowanie do domu wczasowego, ale ciekawi mnie, czy jakaś instytucja przejawia troskę o tych, którzy przyjeżdżają nad morze nie mając zapewnionego locum. Nic z tych rzeczy, jesteś zdany na swoje siły, a raczej swoją kieszeń, i stręczycieli kwater, a jakże — komfortowych, czyli łóżka w wieloosobowym pokoju, bez urządzeń sanitarnych, lub ciemną komórkę. W Budapeszcie np. widziałem przy dworcach tablice, na nich kartki z adresami kwater i ceną; przedsięwzięciu temu patronuje Ibusz, węgierski odpowiednik naszego Orbisu. I tam też spotkacie pokątnie oferujących kwatery, ale lojalnie uprzedzają, że Ibusz, z uwagi na nieodpowiedni komfort, nie przyjął ich do swojej sieci; dlatego cena za nocleg jest względnie umiarkowana.

W ubiegłym roku na Wolinie przebywało około 900 tys. kuracjuszy, wczasowiczów i turystów indywidualnych. Sporo tu także gości zagranicznych. W ubiegłym roku naszym promem „Gryf" przejechało do Polski 40 tys. Szwedów i kilka tysięcy Duńczyków, Norwegów i Finów. W tym roku frekwencja jest znacznie większa zarówno gości zagranicznych jak i krajowych. Nadmorskie kurorty są więc nader przepełnione.

Międzyzdroje, w przeciwieństwie do Świnoujścia, Kołobrzegu czy Sopotu, nie należą do kurortów luksusowych; z wyjątkiem nadmorskiej promenady to miasteczko raczej zaniedbane, niezbyt czyste, ale ma wspaniałą plażę (zwłaszcza dziką, bo strzeżona jest zbyt zatłoczona, co wypoczynkowi nie sprzyja) i lasy w Wolińskim Parku Narodowym, w którym, jak mówią przewodnicy PTTK, nawet dziki jedzą z ręki; dzików nie spotkałem, ale widziałem ślady pobytu turystów, źle świadczące o ich kulturze...

Do Międzyzdrojów przyjeżdża tysiące ludzi, w tym wielu lekkomyślnych, np. matka z dwojgiem małych dzieci, z którymi dwie noce spała w parku aż w końcu zdecydowała się na komórkę z materacami za 80 zł. Ten, który mi o tym opowiadał i który bez żenady tę forsę zainkasował, uważa się za dobroczyńcę, bo przecież zaopiekował się matką z dziećmi. Nieprzyjemnie uderzyła mnie w Międzyzdrojach zachłanność ludzi, zachłanność niespotykana w innych kurortach, gaździna w górach, pazyrna na guldeny, też potrafi z ceprów zedrzeć skórę ale stara się zapewnić jakie takie wygody.

Dla scharakteryzowania panujących w Międzyzdrojach stosunków, podam pewien przykład; powstało tu sporo prywatnych pensjonatów, nie wiem dlaczego nazywanych willami. Te domy — bunkry, wydzierżawione przez zakłady pracy, są niejako filiami domów wczasowych. Wybrzeże przyciąga coraz więcej wczasowiczów, więc liczne przedsiębiorstwa i instytucje wręcz licytują się, by tylko wydzierżawić taki dom; płacą każdą cenę, dają kredyty na wyposażenie, a właściciele korzystając z koniunktury dyktują warunki.

I tak np. jeden z takich pensjonatów: bliźniak po 10 pokoi, każdy ze współwłaścicieli „gości" jednorazowo 30 wczasowiczów, za których przedsiębiorstwo płaci co najmniej 30 zł od osoby. Obliczcie: 30 zł razy 30 osób dziennie, pomnóżcie to przez 5-miesięczny sezon. Koszty własne raczej niewielkie: właściciel pali w piecu tylko symbolicznie i do tego w godzinach kolacji, tak że praktycznie o kąpieli w ciepłej wodzie nie ma mowy. Dla oszczędności wkręca żarówki 25-ki, zamiast poduszek daje jaśki wielkości pięści, często nie ma szafy, no bo gdzie ją wstawić, skoro maleńki pokój mieści tylko rozkładany tapczan, taboret i mikroskopijny stoliczek. W takim „apartamencie" ma obowiązkowo spać dwie osoby, na jednym tapczanie, siedzieć na jednym taborecie. Brak wieszaków, ręczników czy szklanek do mycia zębów? — To nie hotel — pada odpowiedź — dobrze że macie gdzie spać, my przecież gnieździmy się w szopie, nawet swoje dzieci skazujemy na niewygody.

Nie ma nic przeciwko prywatnym kwaterom; są one nader potrzebne, dzięki nim tysiące ludzi spędza urlop w górach czy nad morzem. Ale k t o ś musi pamiętać, że to przede wszystkim ludzie pracy, miesiącami oszczędzający na dwutygodniowe wczasy. Wielokrotnie słyszałem w Międzyzdrojach: „Przyjeżdżacie wydawać pieniądze, my chcemy zarobić".

Włócząc się po szczecińskim wybrzeżu zaglądałem do ośrodków kempingowych przedsiębiorstw przemysłowych. Ci to mają dobrze: spanie w miarę wygodne, „wyżerkę", świetlice z improwizowaną muzyką, przy której można potańczyć, często własne autokary, którymi zwiedzają okolice. Przyszłość wczasów pracowniczych to w dużej mierze właśnie tego rodzaju ośrodki, raczej tanie, masowe, po prostu dla ludzi pracy. Są w Polsce przedsiębiorstwa, które troszczą się o wypoczynek swoich załóg; a to nie tylko rekreacja, odnowa fizycznych i psychicznych sił człowieka, lecz także w dużej mierze dydaktyka społeczna.

Nie wiem, czy użyłem właściwego określenia. Chodzi mi o to, że troska o pracownika rodzi przywiązanie do swego zakładu, wspólny zaś wypoczynek sprzyja konsolidacji załóg. Uwzględnijmy jeszcze inny aspekt zagadnienia: z naszym morzem jesteśmy emocjonalnie związani np. wyspą Wolin zachowała wiele śladów dawnej Słowiańszczyzny, przez wieki z niemiecką pedanterią niszczonych. Tej przeszłości ludzie są ciekawi, dnie spędzone tu przemawiają do wyobraźni żywiej niż karty podręcznika historii. Żywo też interesują się przyjezdni powojennymi osiągnięciami. I chociaż na co dzień nikt nie składa patetycznie brzmiących deklaracji patriotycznych, ale chyba każdy nie bez dumy słucha o stoczniach, portach, bazach rybackich. To wszystko ciekawi mieszkających w głębi lądu, ciekawi tym bardziej że są to nasze Ziemie Odzyskane.

Ten w swoim przekonaniu bardzo ważny aspekt zagadnienia podkreślam dlatego, gdyż mam sporo pretensji do wolińskiego PTTK. I PTTK chce tu zarabiać, ale dlaczego naciąga turystów? Pojechałem na wycieczkę za zł 52 (pięćdziesiąt dwa); zapowiedziany program: port i miasto Świnoujście, plaża i latarnia morska oraz spacer statkiem po morzu. W sumie wycieczka miała trwać 5 godzin. Czekaliśmy na autokar prawie godzinę, później stłoczeni jak śledzie słuchaliśmy popisów przewodnika, który opowiadał głupie dowcipy, plótł od rzeczy o wolińskiej przyrodzie, a w zakresie dawnej i świeższej historii tego regionu Polski okazał się więcej niż ignorantem. Był wręcz irytujący, na szczęście zmienił go w Świnoujściu sympatyczniejszy kolega, ale niewiele lepiej znający historię i geografię. Poprowadził nas dwiema ulicami, co miało oznaczać zwiedzanie miasta, potem wsadził na statek, komunikując, że jedziemy za granicę, na wody terytorialne. Wśród wycieczkowiczów dreszczyk emocji, kupują pocztówki, robią sobie zdjęcia na tle „wód terytorialnych". Faktycznie ten stateczek białej floty nie wypływa poza pas wód terytorialnych. Po zejściu na ląd nie ma mowy o plaży i latarni: — Proszę państwa — ponagla przewodnik — wracajmy na obiad. Autobus PKS do Świnoujścia i z powrotem kosztuje 12 zł, spacer statkiem — 24 zł, a ple ple niedouczonego przewodnika aż 16 zł. Zbyt dużo. Gwoli ścisłości dodam, że jeden ze spotkanych przewodników wykazał się wręcz erudycją w znajomości historii i geografii regionu, interesująco też mówił o przedsięwzięciach gospodarczych.

Wydaje mi się, że nie docenia się poznawczego i w dużej mierze wychowawczego aspektu turystyki i wypoczynku w historycznych miejscowościach naszego kraju. Przecież Wolin czy Kamień Pomorski to nie tylko miejscowości wypoczynkowe: miasta te, jak i zresztą wiele innych, są nader plastyczną ilustracją historii naszego kraju, lecz trzeba umieć ją objaśniać.

Tę garść spostrzeżeń, bo na inne po prostu brak miejsca, zakończę wrażeniem, jakie odniosłem z lektury prasy szczecińskiej: bardzo ostro traktuje ona słabe strony turystyki i wypoczynku. To dowód, że w Szczecińskiem myślą o nas, z głębi lądu, rokrocznie tłumniej spieszących nad nasze morze...

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Kartki dla Ewy

CORRIDA

Kobiety ubrano w estradowe piżamy, mężczyzn w brokatowe surduciki. Wszyscy razem pięknie śpiewali. Były kwiaty, oklaski i bisy. Dyrygenci niektóre panie całowali w rękę, a panów tulili w objęciach. Wszystko nam podobało się ogromnie, tym bardziej że zamiast twardych ławek Opery Leśnej mieliśmy do dyspozycji miękkie, domowe fotele, czarną kawę, może alkohole, a bursztynowy słowik wabił nas punktualnie przed mały ekran.

Koncert przebiegał zgodnie z planem, póki na estradę nie wkroczyła Conchita. Conchita miała wdzięk, temperament, piękną suknię i zgrabne nogi. W amfiteatrze zawrzało, przed telewizorami również. Ród niewieści zwietrzył niebezpieczeństwo. Bardziej zapobiegliwe panie chciały za rączkę wyprowadzić mężów z koncertu, ale powstrzymał je napór tłumu. W domach, gdzie nie zgaszono telewizorów padły cierpkie uwagi pod adresem Hiszpanki. Talent? Nigdy! Seks! Wiodący na pokuszenie statecznych ojców rodzin. Któryż mężczyzna oprze się jedwabistym włosom i cienkiej talii? Nie ma mocnych, słabych zaś trzeba pilnować. Wytłumaczyć szybko a dobitnie, że podziwiane przez nich cudo to zupełnie nic ciekawego. Peruka, sztuczne zęby i rzęsy, ponadto ćwierć kilo pudru w płynie na twarzy.

Jeśli mimo wszystko nam nie uwierzą, tylko posądzą o brzydką zawiść trzeba się rozpłakać i wśród fontanny łez udowodnić, że to właśnie oni, związani z nami małżeńską przysięgą winni są wszystkiemu. Mogłyśmy wyglądać jak artystki z music-hallu niestety, zmarnowano nam życie egoizmem, marudzeniem i pogonią za inną spódnicą. W takiej sytuacji ktoś musiał poświęcić się dla dobra domu i zadbać o wszystkie drobiazgi. Przepadły najlepsze lata, nikt nam nie zwróci straconych nadziei. Trzeba więc bodaj samemu nad sobą się ulitować, pobiadać, a jeszcze przy odpowiedniej okazji zemścić się na otoczeniu.

☆

Człowiek nie lubi przyznawać się do porażek choćby najmniejszych, zawsze szuka usprawiedliwień. Mężczyźni znajdują w otaczającym ich świecie, kobiety we własnym domu. Świat służy kobietom do pokazywania cierpiętniczej twarzy. Własny dom do wyzwierzania się pod adresem najbliższych.

— Poczekajcie, umrę lada moment ze zgryzoty. Dzieci wcielone szatany, a tatuś stary jołop. Hiszpanki mu się zachciało, która wygina się jak wąż i pokazuje kolana.

Gdyby jednak tata przez pomyłkę dostrzegł mamine kolana, mama puknęłaby go w czoło i rzekła: „Stary! Zdurniałeś na amen!".

Seks na ekranie budzi niepokój. W życiu codziennym również, ale o siebie nie boimy się nigdy. Jesteśmy uodpornione na wszelkie zakusy Amora, skąd jednak wiadomo czy uodpornieni nań bywają mężczyźni.

Jak wskazują dzieje ludzkości wszystkie te sprawy należą do kobiet obdarzonych szczególnym wdziękiem tudzież do mężczyzn tym wdziękom ulegającym. Reszta kobiet to zimne cierpiętniczki. Od mycia garnków, od pieluszek, od zupy kartoflanej i pastowania podłogi. Dla nich każda szczęśliwa, lub stwarzająca takie pozory kobieta jest istotą podejrzaną. Każda ładna, wesoła i sympatyczna budzi nieufność. Nie wiedzą, jakie ma zamiary. A nuż zniszczy domowy spokój i zwiedzie na manowce syna, męża lub brata.

Trzeba się bronić póki czas, więc się bronimy stosując fatalne metody, w których brak cienia dyplomacji. Zamiast podkreślić swoje najlepsze strony, swoją urodę i wdzięk w ruch idą szlochy, wyzwiska, a może i przysłowiowe wałki do ciasta. Zamykamy w szafie koszulę non-iron i świąteczny garnitur. Biegniemy z komentarzem do sąsiadki: Drań! Nic nie rozumie! Nic nie widzi choć zżółkłam przy nim jak kanarek!".

Piękna Conchita odleciała do słonecznej Sewilli, myśmy truchcikiem wróciły do spraw powszednich. Następny Festiwal za rok, możemy więc żyć bez wzruszeń. Chociaż nigdy nic nie wiadomo. Czasem rodzime piękności są znacznie groźniejsze od importowanych. O le!

BEGA

KSIĄŻKI

Walery Namiotkiewicz: MYŚL POLITYCZNA MARKSIZMU A REWIZJONIZM. KiW s. 296, cena 20 zł.

„Przedstawione w tej książce rozważania koncentrują się głównie wokół kierunku ideologicznego, który pojawił się w marksistowskim ruchu umysłowym pod koniec XIX stulecia i który został określony mianem rewizjonizmu. Autor stara się ukazać historyczną genezę rewizjonizmu, a także jego treść oraz funkcję polityczną. Na tym tle rozpatruje też system obiektywnych i subiektywnych uwarunkowań kreujących rewizjonizm wewnątrz marksizmu oraz odtwarza ciągłość losów tego prądu ideologicznego, który w zmienionej postaci dotrwał przecież aż do naszych czasów. Zajmując się kierunkiem rewizjonistycznym, autor siłą faktu również wiele uwagi poświęca zjawiskom ideologicznym występującym pod nazwą dogmatyzmu". (Ze „skrzydełka").

Krystyna Kawecka: NIEZALEŻNA SOCJALISTYCZNA PARTIA PRACY. 1921-1937. KiW. s. 356, cena 35 zł.

W niewielkim nakładzie ukazuje się monografia partii politycznej, która istniała w Polsce w latach 1922-1937.

Karol Marks, Fryderyk Engels: DZIEŁA. Tom 18. Tłum. Jerzy Dewitz i in. KiW. s. 1044, cena 30 zł.

Tom obejmuje dzieła, listy i załączniki, które powstały w czasie od marca 1872 do maja 1875.

Z DZIEJÓW STOSUNKÓW POLSKO-RADZIECKICH. Studia i materiały. Tom IV. KiW, s. 280, cena 40 zł.

Maria Podraza-Kwiatkowska: MŁODOPOLSKIE HARMONIE I DYSONANSE. PIW. s. 288, cena 22 zł.

Tytuł oczywiście zaczerpnięty od Miriama, bo też o Przesmyckim również jest mowa. Ponadto o Bolesławie Leśmianie, Marii Komornickiej, Antonim Lange, o symbolizmie, mizoginizmie i w ogóle o tej ciekawej epoce. Łącznie osiem szkiców.

Artur Sandauer: LIRYKA I LOGIKA. Wybór pism krytycznych. PIW. s. 422, cena 22 zł.

Wybór studiów znanego krytyka literackiego ma pogodzić postulaty krytyki genetycznej oraz opisowej. O poetach i prozaikach, starszego, średniego i młodszego pokolenia.

Zdzisław Jastrzębski: LITERATURA POKOLENIA WOJENNEGO WOBEC DWUDZIESTOLECIA. PIW. s. 268, cena 25 zł.

Po omówieniu dorobku literackiego tego okresu autor dochodzi do wniosku, że „twórczość pokolenia wojennego stanowi odrębny i nowy etap w dziejach naszej literatury. To pokolenie literackie ma własne oblicze, którego szukało i do którego świadomie dochodziło". (str. 249).

Jan Strzelecki: KONTYNUACJE. PIW. s. 224, cena 15 zł.

Ten cykl szesnastu artykułów i studiów powstał w okresie ponad dwudziestu lat. Dotyczy głównie literatury. M. in. recenzja książki Jana Stryczka, pisana w 1958 roku.

Henryk Pająk: LOS. Wyd. Lubelskie. s. 288, cena 18 zł.

Powieść. Problematyka partyzancka. Na Wołyniu. Głównie dzieje grupy rozbitków 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

Bjornstjerne Bjornson: MARSZ WESELNY. Tłum. F. Mirandoli. KiW. s. 78, cena 4 zł. Wyd. masowe.

Zmarły w 1910 roku laureat Nagrody Nobla. Norweg. Pisze o ludziach prostych, ich życiu i młodości na tle surowej przyrody.

Stendhal: VANINA VANINI. Przeł. T. Boy-Żeleński. KiW. s. 108, cena 4 zł. Również w masowej serii „Kolibra".

Poza tytułowym dwa dalsze opowiadania („Księżna Palliano", „Wiktoria Accoramboni"), francuskiego pisarza XIX wieku, znanego głównie z arcydzieła pt. „Czerwone i czarne".

Henryk Sienkiewicz: TA TRZECIA. PIW. s. 84, cena 10 zł.

W serii „Jednorożca" jedna z mniej znanych nowel autora „Trylogii".

Stefan Żeromski: SIŁACZKA. DOKTOR PIOTR. Czytelnik. s. 80, cena 4 zł.

Przed nowym rokiem szkolnym na rynku czytelniczym dwie z wczesnych nowel Żeromskiego. Lektura. Wstęp.

Eugenia Kobylińska-Masiejewska: CÓRKI CHCĄ INACZEJ. Wyd. III. Wyd. Morskie. s. 336, cena 22 zł.

Urocza, mądra, a przy tym szczerze zabawna książka o młodzieży, po którą sięgnie chętnie nie tylko młode pokolenie.

Rex Stout: DETEKTYWI I STORCZYKI. Przeł. J. Dehnel. Iskry. s. 232, cena 22 zł. „Klub Srebrnego Kluczyka".

Amerykański autor „kryminałów" stworzył sylwetkę potężnego grubasa, genialnego detektywa, którego stawiają niektórzy w jednym rzędzie z Sherlockiem Holmesem. Zawiła zagadka.

Marcin Dor: ZABÓJSTWO THOMASA JONESA. Iskry. s. 48, cena 6 zł.

Ósmy już numer z serii „Powieść co miesiąc" przynosi tym razem zagadkę kryminalną polegającą na zbyt wielu podejrzanych o zabójstwo brytyjskiego marynarza. Kto naprawdę zabił?

Henryk Mąka: SZCZECIN. Wyd. Poznańskie, cena 75 zł.

Album. Zdjęcia jedno i wielobarwne.

OGRÓDEK NIEPLEWIONY

Dyskusja na temat zalet i wad stroju „mini" rozpoczęta niedawno w naszej rubryce osiągnęła niespodziewanie szeroki zasięg. Okazało się, że spodniczki mini mają wielu zwolenników i tyluż wrogów i co dziwniejsze wrogów płci męskiej. Otrzymaliśmy kilkanaście rymowanych wypowiedzi na ten temat, a ponieważ są one wyrazem nie tylko osobistych gustów autorów, lecz również zahaczają o problemy estetyki, etyki, a nawet polityki, publikujemy je z dramatycznym pytaniem pod adresem opinii publicznej: i co dalej z tym nabrzmiałym konfliktem?... Znosimy mini czy nosimy „mini"?... Pan podpisujący się pseudonimem „Amor" pisze: „Po przeczytaniu utworów Jana Mariana J. i A. B. Antoniego z Rzeszowa byłem mocno zdziwiony, a nawet oburzony". Otrzymaliśmy od niego wiersz pt.:

DO „MUZY Z PRUCHNIKA"
(fragmenty)

„Ja w imieniu mówię panów:
Dowiedz się waleczna muzo,
że te kilka w pasie gramów
to dla wielu aż za dużo.
Większa rzesza panów woli
ze mną rzecz jasna na czele,
by nie było tych krynolin
na pachnącym młodym ciele.
Co się Jasia tyczy zaś,
nie będę przysłowiu przeczył
Jakże mógł przyswoić Jaś
czego Jan Go nie nauczył.
A gdy z Muzą się nie chodzi
to się wiersza nie urodzi.
Puenta piękna i nie krucha,
Wobec tego Muzo słuchaj!"...

Dalszych strof muzowanej polemiki nie drukujemy, gdyż zawiera dość dwuznaczną propozycję „Amora", by p. Z. B. z Pruchnika „zrzuciwszy z siebie mini zasłonę" spotkała się z nim w jego ogrodzie nieplewionym i nawet podaje adres tego ogrodu. Nasza rubryka takich spraw nie załatwia.

Także i czytelniczka M. N. w Wysokiej Strzyżowskiej atakuje z impetem Jana Mariana z Tarnobrzega:

„Brzydkie myśli dręczą Jana,
gdy widzi damskie kolana.
No a wyżej istne cuda
taakie nogi, taakie uda.
Zachwyca się ich widokiem
i uparcie śledzi wzrokiem.
Tak z zachwytem się wpatruje,
aż wiersze o nich rymuje.
Wie, że mini pannę zdobi
lecz oczami nic nie zrobi"...

I znów, niestety, dalszego ciągu poemaciku nie możemy publikować, gdyż jest zbyt pikantny. Nie chcemy nikogo gorszyć.

Natomiast Jan Marian J. z Tarnobrzega jest na punkcie mini nieprzebłagany. Przysłał nam aż dwie polemiczne rymowanki, w których w dalszym ciągu obrzydza kobietom kusy strój. Oto jeden z nich:

JESZCZE O „MINI"

„Krówka tylko ogonkiem
zakrywa swe wdzięki,
kobieta w tym celu
musi mieć sukienki.
Nie czarne habity,
szaty powłóczyste,
jednak przyzwoite,
przede wszystkim czyste...
Absurdalne „mini"
już przeholowane
nawet wśród młokosów
bywa wyśmiewane
Na pewno przynosi
szkodę płci nadobnej
w kusych sukieneczkach
do małpek podobnej"...

No i co wy panie na to? Coś trzeba z tym odkrytym problemem zrobić — zakryć go, czy jak? Przepraszamy autorów tych wierszy na temat mini, które pozostały w naszej tece. Może jeszcze kiedyś wykorzystamy je w „ogródku".

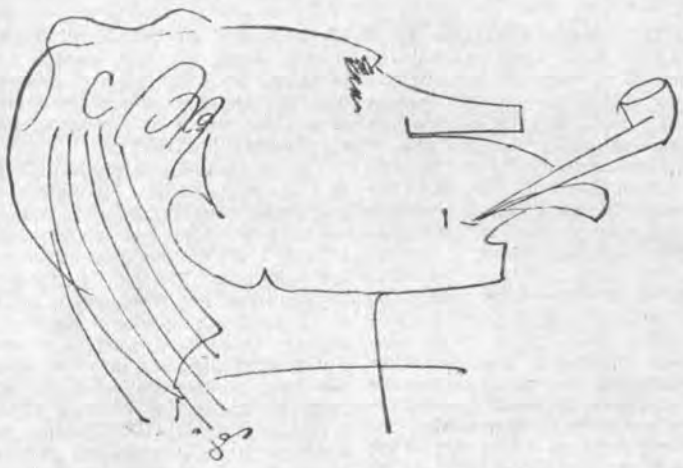

RAJMUND LEWICKI — sekretarz WKZZ w Rzeszowie

Rys. J. SIENKIEWICZ

W polskich pracowniach naukowych

TWORZYWA — W MEDYCYNIE

Zastosowanie tworzyw sztucznych w medycynie — to przedmiot badań zakładu doświadczalnego, będącego jednym z członów I Katedry i Kliniki Chirurgicznej AM we Wrocławiu. Zakład ten powstał w 1963 roku z inicjatywy Ministerstwa Zdrowia. Zajął się sprawdzaniem biologicznych odczynów ustroju (zwierzęcego) na wszczepiane tworzywa sztuczne produkcji krajowej, przy czym jednym z głównych kierunków tych badań było ustalenie wpływu tworzyw sztucznych na powstawanie nowotworów.

Podstawą badań były testy morfologiczne, opracowane na podstawie znanych tworzyw, pochodzących z importu — według tych testów tworzywa krajowe zdawały egzamin przydatności w medycynie.

W Zakładzie mieści się redakcja kwartalnika „Tworzywa Sztuczne w Medycynie". (k)

FLUOR — W OBRONIE ZĘBÓW

We Wrocławiu, Szczecinie, Kołobrzegu, Białymstoku i w Falenicy — pod Warszawą, czynne są stacje fluorkowania wody wodociągowej. Pionierska w tej dziedzinie stacja wrocławska zaopatruje w wodę fluorkowaną ponad pół miliona mieszkańców. Równocześnie prowadzone badania naukowe ustaliły, że fluorkowanie wody nie powoduje zmian w zapachu i smaku wody i nie ma wpływu na jej wartość użytkową dla celów spożywczych lub technologicznych.

FWW — tak w skrócie nazywa się wrocławska stacja — zapewnia optymalne stężenie jonu fluorkowego — 1 mlg na litr z dokładnością do plus minus 10 proc. z wykluczeniem możliwości przedawkowania — i z zachowaniem przepisów bhp.

Naukowcy wrocławscy przeprowadzili szereg konsultacji na temat możliwości technicznych fluorkowania wody wodociągowej oraz skuteczności tego zabiegu przy zapobieganiu próchnicy zębów. (k)

Ruch w morskich głębinach

Na świecie buduje się coraz więcej pojazdów podwodnych. W jakim celu? Letnia kanikuła nakazuje na pierwszym miejscu wymienić cel następujący: aby znaleźć tajemniczego potwora z jeziora Loch Ness w Szkocji.

MINI-ŁÓDŹ

Ów raport skłonił inną ekipę amerykańską do zbudowania miniaturowej łodzi podwodnej, ktora została już przetransportowana do Szkocji i prowadzi poszukiwania w wodach jeziora Loch Ness.

Bardziej prozaiczne przeznaczenie ma inna miniaturowa łódź podwodna o kształcie przypominającym kadłub samolotu. Łódź ta ma ok. 3 metrów długości i 1,5 metra szerokości i umożliwia dwom akwanautom opuszczanie się oraz podróżowanie na głębokości maksymalnej 40 metrów.

Miniaturowa łódź podwodna ma być wykorzystana do różnych podwodnych rekonesansów, do konserwacji podwodnych urządzeń portowych, wykonywania zdjęć fotograficznych podmorskich instalacji i podwodnych części zapór rzecznych oraz kartografowania dna morskiego w rejonach przybrzeżnych.

Do zadań mini-łodzi ma należeć też rozmieszczanie narzędzi połowowych statków rybackich oraz obserwacja podmorskiej fauny i flory.

JUŻ ZA 5 LAT?

Istnieją także projekty podwodnych statków handlowych — zbiornikowców i rudowców wyposażonych w napęd atomowy. Do głównych zalet takich statków należeć ma niezależność od warunków atmosferycznych podczas pływania podwodnego, możliwość odbywania w dowolnej porze roku rejsów podbiegunowych oraz perspektywy radykalnego zwiększenia prędkości pływania.

Projekty takie opracowuje się w USA, w Wielkiej Brytanii i Japonii. Fachowcy brytyjscy ogłosili już nawet, że wszystkie problemy związane z realizacja podwodnego statku transportowego mogą być rozwiązane w ciągu 5—10 lat.

Przystąpienie do projektów budowy podwodnych statków transportowych specjaliści radzieccy określają jako „przełom w rozwoju żeglugi morskiej". TM

Noc. Co robi człowiek cierpiący na bezsenność? Bierze książkę i czyta. Wybór, a raczej dobór lektury zależy od indywidualności. Jeden czyta kryminał, ktoś inny — książkę kucharską, albo ciekawą powieść psychologiczną.

Wielu ludzi unika powieści, sięgając najchętniej do książek naukowych lub popularnonaukowych, do monografii historycznych poświęconych wielkim ludziom, odległym czasom i dawnym obyczajom. W ten sposób można upewnić się w przekonaniu, że w dziedzinie uczuć i w ogóle w dziedzinie psychologii nic się nie zmieniło od dawna. Stąd nieustająca aktualność dramatów Szekspira.

Mimo to lektura książek historycznych jest zabawą wspaniałą. Na stroniczkach takiego historycznego dziełka ożywają cienie minionych epok, cienie osobistości wielkich i dobrych, lub wielkich i nikczemnych, albo zgoła zupełnie przeciętnych: ludzi, którzy żyli, działali, cierpieli, radowali się — a potem, pewnego dnia przeszli do przeszłości. Wielu z nich znikło w zapomnieniu na zawsze lub na długo, zgodnie z brutalną sentencją: Omnibus hominibus moriendum est, czyli — nikt nie jest wieczny. Albo jak to Horacy powiedział: Omnes una manet nox. Wszystkich czeka jedna noc.

Oczywiście, jest to banalny krasomówczy truizm, na który trzeba koniecznie znaleźć inną, mądrzejszą sentencję. Więc skoro już jesteśmy przy łacinie: Omnibus in vita commodis una cum amicis fruamur — używajmy wszystkich dóbr doczesnych razem z przyjaciółmi.

Bo życie jest zjawiskiem wspaniałym — wówczas kiedy mamy przed sobą jeszcze jeden dzień i wówczas kiedy mamy przed sobą całe życie. Dobrze jest mieć tę ufność, która dodaje nam sił i mobilizuje do wysiłków, dobrze jest nie wiedzieć i nie myśleć o tej nieuniknionej godzinie zerowej, która czeka każdego z nas, i która stanowi granicę między bytem a niebytem.

Dobrze jest żyć, pracować czyli robić rzeczy pożyteczne, jeść chleb, pić wodę, mleko lub wino, podróżować po świecie, mieszkać w pięknych hotelach lub w ogóle nie podróżować, a mieszkać w domu, w którym urodziliśmy się, w wielkim mieście lub w małej zielonej dolinie wśród gór. Poznawać sympatycznych, pięknych i dobrych ludzi, kochać, lub czekać na miłość, mieć dzieci — maleńkie dzieci, dorastające dzieci, które uczą się samodzielności i popełniają te same błędy, jakie i my niegdyś popełnialiśmy, a czasem cierpią tak samo jak my cierpieliśmy w młodości.

Ale — dość! Do tego tematu jeszcze kiedyś wrócimy. Jeszcze o tym pogadamy innym razem, może nie tak sentymentalnie, może nieco trzeźwiej i bardziej obiektywnie. I może wtedy będziesz mieć odwagę przyznać, że te smutnawe rozważania wynikają z twojej samotności, bo jednak od czasu do czasu bywasz nieco samotny i zgorzkniały. I wtedy usiłujesz od swojej samotności uciec do jednego ze swoich stu przyjaciół, a kiedy go odwiedzasz — jeszcze zanim zdążyłeś zetrzeć z twarzy zmęczenie po podróży — on już skwapliwie pyta kiedy wyjeżdżasz, i skwapliwie zaczyna szperać w rozkładzie jazdy i życzliwie informuje cię, który pociąg jest najmniej męczący i który ma najlepsze połączenia.

Takim tonem ktoś ze mną gawędzi i uśmiecha się złośliwie — więc śmiejemy się obaj, on i ja, to znaczy ja i ja, bo to przecie jest tylko mój dialog ze samym sobą.

A tymczasem jest noc i nie mogę usnąć, bo cierpię na bezsenność. Więc biorę do ręki nową książkę mojego kolegi i zaczynę ją czytać w nadziei, że to książka dobra. Bo życie jest krótkie a książek jest wiele, trzeba więc czytać te dobre i te najlepsze. Czytam więc te, w których mogę dokonać jakiegoś odkrycia. Szukam zjawisk jeszcze mi nieznanych, lub nieznanych zakątków tego co nazywamy ludzką duszą.

Któż z Was nie pamięta tego wstrząsającego wrażenia, jakie wywarła pierwsza przeczytana książka Dostojewskiego? Patrzcie, patrzcie — myśleliście wtedy — nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje, że istnieją takie uczucia, głębokie, ciemne, niesamowite.

A niekiedy bywa inaczej. Biorę książkę do ręki, wertuję jej kartki, szukam jej smaku, i nagle z tych zadrukowanych stroniczek dochodzi mnie sygnał — rozpoznaję znajomy brzeg, rozpoznaję echo moich własnych uczuć, doznań, przemyśleń. Znika dystans między autorem a czytelnikiem. Idę więc śladem tego autora, czytam, rozpoznaję siebie na kartkach tej książki — w jej wierszach i między wierszami. Utożsamiam się z bohaterem powieści, a może jeszcze bardziej z jej autorem, czuję gorący płomień głębokiego przeżycia: ja również tak myślałem, ja również tak odczuwałem, tak cieszyłem się między jednym cierpieniem a drugim, tak cierpiałem między jedną radością a drugą.

Być pisarzem to wspaniała rzecz. Pisać prawdę o ludziach — także o nieznajomych. Prawdę o losach i głębokich uczuciach, których sam autor może nawet nie przeżył. Przeżyli ją inni.

Najczulsza wrażliwość — bez niej nie można być pisarzem. Ten szósty zmysł, który pozwala zrozumieć treść ludzkiego milczenia. W starożytności i później, w średniowieczu wierzono, że ten dar jest darem Boga lub opętaniem przez szatana. I nie ma co dziwić się temu demonizowaniu. Bo napisać dobre dzieło literackie, w i e l k i e dzieło, to tak jak stworzyć kawałek świata.

Zapytacie: a co szatan ma z tym wspólnego? A no, on też ma swoją symboliczną rolę. Tomasz Mann u schyłku życia napisał swego „Doktora Faustusa", gdzie w sposób metaforyczny ukazuje artystę, który zaprzedał się diabłu, po to, by móc stworzyć dzieło genialne. Na szczęście rzecz dotyczyła nie pisarza, ale kompozytora. I na szczęście cała sprawa była tylko metaforą.

Choć prawdę mówiąc, znamy wielu ludzi, którzy istotnie zaprzedali się diabłu. I tym nawet pacierz nie pomoże.